HARCERZ

Warszawa, Wrzesień—Październik 1917 roku. № 4—5. Cena 80 fen. w Warszawie i na prowincji.

„Jeśli w Waszym kraju jest dużo podobnych do Ciebie chłopców, to nieprędko dadzą sobie z wami radę”.

„W PUSTYNI I W PUSZCZY”.

Ideały harcerskie.

I.

Harcerstwo jest związkiem rycerskim—opartym na braterstwie uczuć i wzajemnej pomocy intelektualnej w wyrabianiu charakteru.

To jest możliwie najkrótsze i najściślejsze określenie harcerstwa—jako cząstki organizacyi, obejmującej dziś już prawie cały świat pierścieniem związku młodych dusz.

Harcerstwo polskie—jako ogniwo tego związku—ma nadto wyrabiać śród harcerzy myśl polską i duszę polską, gdyż nietylko cnoty ogólnoludzkie, ale i cnoty narodowe są wykładnikami wybitnych dzielnych osobistości, mogących odegrać w życiu ludzi poważną rolę.

Zanim zacznę mówić o ideałach harcerstwa polskiego, muszę z Wami — druhowie moi — poruszyć sprawę określnika „rycerski" i wyrazu „związek", abyśmy ustalili już dostatecznie rodowód naszych ideałów—dla przyszłych pogadanek naszych.

W wiekach średnich, w owej epoce, gdy baronowie dumni a drapieżni—napadali z kryjówek swoich i zamków na przechodniów, kupców i pielgrzymów, aby ich rabować, rycerstwo było instytucją zbawienną, ludzką i szlachetną, gdyż miało zasługę rzeczywistą, broniąc skrzywdzonych, karząc bezprawia i stając się opiekunami wdów i sierot, samotnych dziewic, słabych i uciskanych. W ten sposób powstał typ rycerza (Ritter—Hidalgo—Caballero—Cavalier i Chevalier), na którym począł się wzorować polski junak jakto sobie przypomnieć można z typu Sienkiewiczowskiego Zbyszka z Bogdańca. Wówczas to i poezja rycerska spełniała posłannictwo zaszczytne, opiewając czyny bohaterów prawdziwe lub krojone, gdyż w ten sposób wszystkie natury szlachetniejsze do rycerstwa pobudzała.

Jakoż tak zwane księgi rycerskie wszechwładnie zapanowały w literaturze europejskiej. Ale wkrótce chimera zajęła miejsce rzeczywistości; wyobraźnię truwerów zaludnił cały świał czarownic, czarodziejów i olbrzymów, a miejsce idealnego kultu cnoty i miłości zajął mistycyzm uczucia, który z biegiem czasu uświęcił niemoralność.

Kto z was zna Wagnerowskiego Tanhaüsera, przypomni sobie z łatwością tę ciekawą walkę o ideały rycerskie na konkursie śpiewaków-poetów.

Bohaterowie romansów rycerskich posiadali wszystkie przymioty, a nadzwyczajne ich czyny przechodziły wszelką moc ludzką i wszelkie granice podobieństwa. Zimna i twarda rzeczywistość życia wystąpiła twardo przeciwko pieśni trubadurów. Moraliści, kaznodzieje, prawodawcy, rozumiejąc dobrze niebezpieczeństwo, szukali środków przeciwko chorobie i mańjactwu wielkości Dokonał tego radykalnie autor Don Kiszota nieśmiertelny Cerwantes, znalazłszy lekarstwo na chorobę: śmieszność. Jeżeliście czytali Don Kiszota (jeżeli nie, przeczytajcie go koniecznie razem z doskonałym wstępem i objaśnieniami p. Jul. Ad. Święcickiego), to zapewne nie mogliście się oprzeć wrażeniu, że ten ośmieszany, sparodjowany aż do błażeństwa „błędny rycerz" taki jednakże jest dla nas miły i sympatyczny. Prawdziwy to romantyk uczucia z niepolityczną głową. Śmiejemy się z jego walk z wiatrakami, z napadów na stado baranów, gdy mu się uroił orszak wrogów, z niezliczonych zaiste plag i tuzów, jakie obłąkany w mańjactwie poszukiwania przygód nieszczęsny Don Kiszot odbiera—i nie możemy się oprzeć uczuciu litości i wzruszenia dla tego tak szlachetnego w każdym calu człowieka. Jeżeli jeszcze porównamy sobie w myślach bohatera hiszpańskiego Don Kiszota z bohaterem angielskim Robinsonem Kruzoe,—skrajnego romantyka ze skrajnym pozytywistą, który nie tylko życie uratował, ale i do bogac-

twa słusznego doszedł, sprzedawszy swoją wyspę Anglji, to mimowoli ujmujemy kilku postaci „rycerstwa", wykwitłych na tle wieków, kultur i różnic narodowych. Nam polakom zawsze milszy jest nieszczęsny Don Kiszot od bohatera p. de Foe, który chrzci i sprzedaje w niewolę karaibów. Widzimy jednak, jak ideę junaczą rozmaicie na świecie pojmowały narody. Z wzorów przeszłości i historji musimy dla przyszłości czerpać wzory dla nas najwłaściwsze. Musimy robić syntęzę rycerstwa, wzorem naszych przodków. Tu przychodzi do nas w chwilach marzenia rycerz polski z Sarkofagów Wawelskich, z Kurhanów i mogił kresowych, gdzie starano się pomost polski rozpiąć „od morza do morza", przychodzi wierny sodalis z ryngrafem pozłocistym na piersiach i mówi nam „cóż jest piękniejszego nad ojczyznę"? Trylogja Sienkiewicza to też są nasze „libros de caballeria", ale jakże inne od tych, z którymi walczył Cerwantes! „W pustyni i w puszczy"— wszakże to także romans rycerski dla Was – młode polskie rycerzyki. Widzicie więc, że idea rycerstwa nie umarła, nie spleśniała, trzeba ją tylko z pod pleśni naszej wiekowej prawie bierności wyjąć i odczyścić, odchuchać naszem tchnieniem. Rycerz jest to ten, kto służy dobrej sprawie całą duszą, kto umie rozkazywać sobie samemu lepiej niż innym, kto ślubuje posłuch i karność wzniosłej idei służby bożej, społecznej, narodowej. Rycerz i po dziś dzień może być czysty w uczynkach, niepokalany w myślach, prawy w stosunkach ludzkich. Musi on z przeszłości historycznej brać umiłowanie dobroci i miłosierdzia, („Powaga i łagodność są podstawą prawdziwego męztwa"), ucieleśniać je w czynie twórczym i bratnim dla bliźnich—i bronić się wszelkimi siłami od mańjactwa wielkości.

Waligórom i wyrwidębom należy przeciwstawić w życiu „Janka Wędrowniczka", który przez góry, lasy – depcząc okrutne smoki („dzieciom w kolebce kto łeb urwał hydne, młodzieńcem zdusi centaury") zwyciężając szklanne góry idzie po dzban „żywej wody" dla matki. Każdy bo z nas ma w sobie hydrę dumy, pychy czy zwątpienia, której łeb sam urwać musi, aby nieść prawo sięgać do nieba pa laury—podając matce – ojczyźnie dzban wody żywej.

Rycerz jest zawsze młodym duchem. Do młodzieży pisał Mickiewicz swoją odę, w której dał nam szczytny obraz rycerstwa wszechludzkiego, sięgającego, okiem „ponad poziomy". Czyn jest wtedy tylko wartościowy i cenny, gdy jest skończony i dokonany, zarodki czynu i projekty jego niedokonane demoralizują.

Prostota rycerska wraz z poezją czynów, przy zupełnem pognębieniu ambicji osobistych, dają ideał bohatera, który od Boga wywodzi swój rodowód, podobnież jak ubogi, bogaty i ubóstwiany. Św. Franciszek z Assyżu w młodości swej był rycerzem-trubadurem, którego pieśni słynęły po kraju. Pogłębiając tę pieśń swego życia bohatersko aż do nieznanych innym ludziom wyżów boskiego rycerstwa został Św. Franciszek ubóstwionym przez ludzi i patronem odrodzenia swej ojczyzny.

Rycerz więc staje się odnowicielem ideałów, wskrzesicielem prawd, gdy poślubia prostotę, ubóztwo boże i poezję czynu. Takie jednostki rycerskie z tak pojętym ideałem rycerstwa są jak białe drogowskazy na gościńcu ludzkości, snującej się pielgrzymio od kamienia do kamienia ku przyszłości. Są one pochodowi życia niezbędne jak słońce i gwiazdy. Im więcej naród słabnie, tym mniej rodzi rycerzy. Świadomość narodowa musi więc rycerzy i budzić i chować.

Przykładem naszego uśpienia norodowego, wynikającego z naszego bezwładu i bierności są chociażby tak liczne u nas i na Podhalu i na podlasiū legendy „o śpiących rycerzach". Śpi jeden zaklęty w Giewoncie, — dwunastu z „naczelnikiem" Kościuszką na czele drzemie na samotnej polanie w borach Dąbrowy nad Wisłą.

Poeci coraz to halucynują nas pieśniami o śpiących rycerzach;—wypatrujemy tęskne oczy, czekamy ich zbudzenia w przestrzeni.

Nie tam trzeba patrzyć jednak! Trzeba budzić śpiących rycerzy w duszach naszych, trzeba przetwierać oczy do niepodleg ości i do zobowiązań za nią, budzić w sobie hart i moc ducha, szukać sobie ścieżki własnej nie w poezji słów, a w poezji czynu.

Ożyje wtedy rycerz Giewontu—zbudzony pieśnią od morza do morza; trzeba za niego powiedzieć ludziom – wstawajcie! Polska czeka na swoich rycerzy, zbudzonych, przytomnych. Trzeba ich chować — „ramię do ramienia", chować w środowiskach, skutych „wspólnymi łańcuchy", bo tylko zestrzelając „myśli w jedno ognisko, w jedno ognisko duchy" można poruszyć z posad ciężką bryłę naszej niewoli.

Dlatego to samo pojęcie rycerstwa jednostki pociąga za sobą w tej chwili potrzebę szukania związku jej z życiem z drugimi jednostkami rycerstwa. Samotny waligóra dzisiaj jest bezwzględną utopią, tylko zespół organiczny jego potomków tworzy coś, co może tworzyć pierwiastek siły w stosunku do „bryły świata", która robi się coraz bardziej ciężką i bezwładną przez szalone rozróżniczkowanie myśli, ideałów, samego życia wreszcie. Związek jest taką samą formułą teraźniejszości i przyszłości na długie jej jeszcze lata, jak kiedyś formalnie zamykano jednostkę średniowiecza w formule „credo ut intelligam". Dzisiaj trzeba mieć silnym wspólną wiarę, wspólną moc i wspólne sumienie. „W szczęściu jednego są wszystkich cele"—mówi o tem Mickiewicz. Rycerskość związana w kształt organiczny ludzi wspólnej wiary i myśli daje podstawy wychowania nowego człowieka. Związek rycerski musi być naprawdę związkiem i naprawdę rycerskim – to znaczy: spoidło musi być mocne przez etyczne swoje pierwiastki i mieć wysoką barwę szlachetności przez kulturę właściwą idei rycerskiej. Nam niepotrzebni ani mań-

jacy (zresztą zacni) w rodzaju Don Kiszotów, ani praktyczni zbytecznie Robinsonowie, nam chodzić powinno o takich żołnierzy jak Sowiński, Rufin Piotrowski, Traugutt o takich działaczy jak Kołłątaj, Potocki, Małachowski, którzy siebie uważają wszędzie tylko za wykładników myśli narodowej —a nie za wodzów i dyktatorów. Jednostki przodownicze narodu zawsze stwarza i wyprowadza z szeregów szarych życie, jednostki te będą zawsze tym silniejsze, im silniejsze będzie środowisko, atmosfera czy szkoła, z której one wyszły. Każdy związek rycerski ma za obowiązek chować nie tylko moc narodu, ale i elitę narodu. Jestto miejsce dla doboru naturalnego sił przodowniczych i porządkujących szeregi pracy narodowej.

Gdy mówimy o ideałach harcerskich musimy sobie to wszystko postawić przed oczy, przypomnieć wszystkie ideały junaków rycerskich z pól kresowych, podchorążych, kadetów, filaretów, filomatów—aby wiedzieć skąd i z czego nasze ideały wyrosły. Harcerz musi być ich prawym potomkiem w linji prostej, spadkobiercą zacnego imienia i prawego czynu. Samookreślenie narodowościowe musi mieć wyraźne—skaut międzynarodowy jest wytworem wyobraźni skrajnie partyjnej,—zapotrzebowania duchowe musi czerpać ze swojej wiekowej duchowej skarbnicy, żyć po polsku.

Ziemia polska go zrodziła, ziemia swoja go karmi, — ma być więc w każdym calu swego wzrostu, w każdym łucie swojej wagi—prawym synem ziemi. Obcowanie z nią zaczyna się od podłogi w pokoju dziecinnym, po której przyszły rycerz chodzi jeszcze na czworakach.

Dom rodzinny, gniazdo domowe — to zarodek, to żółtko jajka ojczyzny, którego pęcherzykiem zarodkowym życia jest miłość· To też harcerz jeżeli chce być wiernym ziemi, w gnieździe domowem musi być pożytecznym i twórczym obywatelem. Wszak—rycerz to wierny, czuły syn, serdeczny, oddany brat—to domu rodzinnego wierny przyjaciel i najpierwszy sługa. Najpierwsza szkoła rycerska dla harcerza — to dom rodzinny. Ma on w niego wnieść radość młodego życia i pomoc dzielną we wszystkich frasunkach, aby życie zaczynać od czynów.

Drugi teren rycerstwa to szkoła, do której harcerz uczęszcza. Stosunek harcerza do kolegów, do wychowawców, do zwierzchności musi być rycerski t. j. oparty na serdecznej uprzejmości i przyjaźni dla rówieśników, na szacunku i posłuchu dla starszych wiekiem. Błędnie rozumieją ci harcerze, którzy uważają że jedyną ich władzą jest komenda skautowa i lekceważą sobie zwierzchność szkolną. Jest to złe, fałszywie zrozumienie i rycerstwa i idei skautowej.

Rycerstwo zaczyna się od żołnierskiego spełniania wszystkich obowiązków, harcerstwo prawdziwe od szacunku i karności względem wszelkiej władzy narodowej.

Ten tylko harcerz ma w sobie poczucie rycerstwa, który umie wszędzie zdobywać dla siebie miłość, dla swej służby w związku—szacunek. Niekarny w szkole harcerz zniechęcą innych do harcerstwa, przynosi wielką szkodę harcerstwu. Człowiek prawy, zdecydowany i mocny wybrnie zawsze z najtrudniejszych zestawień rozkazów i wymóg, które mu daje życie,—wybrnie z godnością i pogodą, bez poniżania siebie, o ile tylko rozumie, że ustępstwo starszemu i spełnianie nakazów nawet nieprzyjemnych jest dla niego właśnie szkołą rycerstwa, a nie więzieniem ducha. Trzeba wierzyć, że wszystko ciężkie, twarde—co go spotyka—jest tylko dla jego dobra i przyszłego wyrobienia, jest właśnie szkołą życia i rycerstwa.

Ze szkołą swoją, tak jak i z domem, trzeba się związać serdeczną nicią polskiego przędziwa uczucia głębszego, które kocha wszystko—co swoje, umie wybaczać, zapominać rzeczy osobiste, pamiętać rzeczy wiążące nas ze światem młodej polski w całość organiczną.

Wam dziś w szkołach polskich jest dobrze—i ciepło, nam w szkołach rosyjskich często tak źle było! A jednak o ileż więcej my starsi mamy wspomnień niż wy młodzi! Nas w szkole dawnej wiązała wspólna walka i wspólny ból, tuliliśmy głowy i serca do siebie w kołach i kółeczkach szpiegowanych przez żbicze oczy szpiclów i mimo te serdecznie wspominamy dziś nawet mury szkoły, przesiąknięte naszemi westchnieniami wolności. Dla was to jest tylko „historyjka" z życia waszych ojców. Żeby się do nich choć trochę upodobnić, musicie sobie wymyślać i tworzyć często imaginacyjnie tragedje młodego życia, które mają wartość waszej literatury, a nie życia. Przeczulenie ambicji tylko rzekomo rycerskiej stwarza wszelkie wasze dzisiejsze nieporozumienia ze szkołą. Nie przywiązuje się do swojej szkoły tylko ten, kto szukać sercem i mózgiem dobrego nie potrafi, ponieważ wszędzie szuka tylko swojej krzywdy lub obrazy. Rycerz obraźliwy—toć przecie figura operetkowa, a obraźliwość i nadczułość ambicji to coś w rodzaju wrzodzianki na siedzeniu. Młody polak winien czuć górnie — a nie dolnie. Traktują szkołę jako dom niewoli tylko próżniacy i fanfaroni, nie przedstawiający sobą żadnej wartości pod względem żołnierskim:—pseudo-poeci, jakoby literaci, rzekome duchy wyższe bez żadnych głębin rozumienia życia i obowiązków. Takiemu panu zresztą wszędzie jest źle, gdzie mu nie kadzą, przy pierwszej sposobności też stacza się on dokładnie po pochyłości egoizmu na dolne poziomy mizeractwa życiowego. Należy harcerzowi uczciwemu traktować szkołę jako pierwszy etap pracy w związku organicznym młodzieży polskiej i wszelkimi sposobami dążyć do wyrabiania dobrego imienia szkole. Szkołę robią dobrą nietylko nauczyciele, ale i młodzież szkolną. Szkoła opartą być winna na szlachetnem współżyciu i współbiesiadnictwie kultury polskiej, a nie na zjawiskach z dżungli, które

wielu nierozważnych harcerzy traktuje jako sposoby ,,podchodzenia''. Na harcerzach przewszystkiem leży obowiązek wyplenienia ,,ściągania'' i ,,podpowiadania'', które są wyrodkami szkoły moskiewskiej państwowej. W Szwajcarji dzieci nie podpowiadają i nie ściągają, bo niema kilku pojęć uczciwości, a jest jej tylko jedno pojęcie, takie jakie temu krajowi chłopów dyktuje chłopskie sumienie. Budźcie wy w szkole lepszy gatunek sumienia, uczcie karności względem szarż starszych waszego społeczeństwa, posłuchu—dla siwych włosów i kresów zmarszczck, budźcie c n o t ę p o l s k ą w duszach waszych, aby dusza wasza miała właściwy pokarm i środowisko rycerskie do wzlotów wzwyż ku gwiazdom.

Tyle na dzisiaj. Za miesiąc pogadamy o pracy nad ideałów ucieleśnianiem w samej organizacji.

Czuwaj!

Konrad.

MYŚLI O PRAWIE.

BĄDŹ SPRAWIEDLIWYM SĘDZIĄ.

Jedną z najbardziej rozkrzewionych wad ludzkich jest bezwątpienia mówienie nieprawdy. Uzyskało ono prawo obywatelstwa, jest plagą, rodzącą szereg innych błędów człowieka, plagą tem większą, że niejednokrotnie lekkomyślnie tolerowaną.

Mówienie nieprawdy można dzielić na liczne rodzaje i odcienie. Wszystkie te objęte jedną nazwą—kłamstwa—uważa się za bezwzględne zło, oddzielnie jednak wzięte, niektóre z nich są nieraz poszukiwane, jako niemal cnota. Wówczas naturalnie zmienia się powierzchownie ich istotę mianem najdogodniejszem.

W społeczeństwie harcerskiem niema miejsca na nieprawdę i niema usprawiedliwienia dla tych, którzy w takiej czy innej formie kłamią.

Nie znaczy to jednak wcale, byśmy pod tym względem doszli do doskonałości — musimy bardzo usilnie starać się o wykorzenienie pewnych rodzajów mówienia nieprawdy, jakie nas prześladują.

Jeżeli powiedzielibyśmy, że każdy harcerz kłamie, oburzonoby się na nas i mianoby słuszność. Ale czy na każdym harcerzu można polegać jak na Zawiszy? nie — bo nie każdy oduczył się już od t. zw. ,,mówienia na wiatr'' i nie nauczył się ważyć i cenić swe słowa zawsze nawet w drobnostkach.

Można dać liczne na to przykłady i pisać o każdym z nich osobno. Weźmy jeden tylko, chwilowo może bardziej aktualny, niż pozostałe.

— Wyraz sędzia oznacza tytuł człowieka, który ma prawo sądzić innych. Sędziostwo to urząd odgrywający bardzo ważną rolę w stosunkach między ludźmi, na sędziego trzeba mieć wykształcenie, warunki.

Chociaż jednak nie każdy człowiek kończy wydział prawny, każdy bez względu ma zdolności prawnicze, jest od urodzenia sędzią. Jest sędzią sobie i innym. I o ile sąd nad sobą obowiązuje go zawsze, o tyle nad innym niekiedy.

Sądzić siebie trzeba na każdym kroku, by móc pozbywać się błędów i dążyć drogą poprawy. Innych należy sądzić również — dla siebie — by ich odpowiednio oceniać—dla nich—gdy o to proszą lub gdy czynić to nakazuje nam obowiązek.

Sędzia wtedy odpowiada zadaniu, kiedy jest sprawiedliwy. A zatem każdy harcerz powinien być takim sędzią właśnie. Nie zawsze nim jest—bo w sądzie najłatwiej jest błądzić. Można być krańcowym pesymistą, albo optymistą. Można malować wszystko w barwach czarnych, ponurych, albo różowych. Można dopatrywać się w kimś czy czemś jedynie wad i błędów albo tylko stron dobrych.

Taki krańcowy sąd nie jest nigdy prawdziwy. Wadliwość jego wynika czy to z usposobienia człowieka, czy z nieznajomości rzeczy lub stronniczości.

Wadliwość ta, to mówienie nieprawdy, co nie wymaga wyjaśnień.

I takim mówieniem nieprawdy grzeszą harcerze. Bo ileż to razy zdarzyło się im powiedzieć na kogoś taki, owaki, bez pełnej świadomości tego, czy ten ktoś jest nim w istocie.

Ileż razy potępili czyn jakiś, nie starając się nawet wniknąć w jego istotę.

Ileż razy uprzedzili się do kogoś na podstawie przypuszczeń lub zaciągniętych o nim wieści nie zawsze i niekoniecznie prawdziwych, a niesprawdzonych.

A ileż razy wypowiadali wobec innych taki sąd powierzchowny, niezgodny często z rzeczywistością.

Czy zastanowili się nad tem, jaką krzywdę można wyrządzić komuś, przez nieświadome nawet rozsiewanie o nim wieści?

A jeżeli gorzej jeszcze, jeżeli w ocenianiu ludzi wogóle, kolegów i druhów w szczególności, kierowali się stronniczością — czy pomyśleli o tem, jak jest to nieharcerskie?

Zapewne nie zawsze zadawali sobie podobne pytania, w wielu razach trudno im było przyzwyczaić się do kierowania swej mowy w każdej okoliczności namysłem.

A j e d n a k harcerz m u s i być z a w s z e prawdomówny...

Mógłby ktoś powiedzieć, że ten przykład nieprawdopodobności jest wchodzeniem w szczegóły. Tak. Harcerzem można być zawsze, albo niebyć nim wcale. Trzeba poznać, osądzić i uczyć samego siebie, by na miano skauta polskiego zasłużyć. Trzeba wyśledzić wszystkie tajniki swego postępowania, by módz błędy naprawić, wady wykorzeniać,

by dążąc naprzód urobić typ harcerza jaknajbardziej zbliżony do idealnie pomyślnego przez nas chłopca czy obywatela. A obywatelom — harcerzom nie wolno będzie kłócić się, prawować, podejrzewać.

Bądź więc sędzią bezstronnym i sprawiedliwym. To ci ułatwi poznanie siebie i drugich. Zyskasz szereg innych cnót, będziesz miał mir u wszystkich.

O tem, że takim masz być mówi ci pierwszy punkt prawa harcerskiego.

I nietylko pierwszy...

Jerzy Grzymała.

ŻNIWA.

Dzień sierpniowy, pogodny, upalny. Leją się z błękitnego nieba: ciepło i wesele. Wszystko jaśnieje od złotego słońca,—śpiewa upojeniem i radością.

W żyznej ziemi Lubelskiej pod lekkim tchnieniem gorącego wiatru — chwieje się bujny łan pszeniczny. Źdźbła krzepkie, wysokie; kłosy pełne i ciężkie. Wyrosły na ziemi, tak niedawno krwią zbroczonej, i plon dały bogaty...

Ściele się owa niwa złocista po lekko falujących się wzgórzach. Spojrzysz za wiatrem, i zdaje ci się, że ona gdzieś idzie, gdzieś płynie i ciągnie cię do siebie w nieskończoność, nucąc pieśń cichego szelestu. I ciągnie cię ona w istocie do siebie owem umiłowaniem serdecznem, z którem już na świat przyszedłeś i które w tobie tak płonie, że go niczem nie ugasisz.

A to umiłowanie ziemi ojczystej jest najistotniejszą naszą siłą. To nasza cała nadzieja, to najmocniejszy fundament, to rdzeń naszego jestestwa narodowego. Dopóki ono w sercach naszych — dopóty nie zginiemy...

Stoją złote, bujne kłosy,—szeleszczą—poruszane wietrzykiem i zdają się wołać:

,,Śpiesz się, gospodarzu, póki słonko świeci, póki na niebie pogoda! Damy ci ziarno piękne, ciężkie, dojrzałe. A potrzebujecie go tak bardzo, tak bardzo. Czekaliście na nie z takim utęsknieniem. Nasz obowiązek spełniony. Ciągnęłyśmy z matki ziemi soki pożywne, wchłaniałyśmy w siebie krople dżdżu i rosy, a słońce dopomagało nam w pracy, która — bez jego dobroczynnych promieni—byłaby daremną. Teraz na ciebie czas, gospodarzu''.

. . . .

Życiodajne kłosy nie czekały długo.

Nazajutrz—zaledwie zorza poranna—z za świata idąc—umalowała przepięknie wschodnią stronę nieba, już wieś, ciągnąca się sznurem, zbudziła się do życia, jak to zwykła czynić codziennie, gdy słonko wcześnie wstaje. Na wsi — ono reguluje życie: ze wschodem rozpoczyna się praca, —o zachodzie — czas na spoczynek.

Wyruszyli kosiarze rośli, zdrowi, krzepcy,—prawdziwy ,,szczep Piastowy''. Takich tęgich chłopów można tylko spotkać w Polsce.

Stanęli na łanie, każdy na swym zagonie. Chociaż wczoraj kosa naostrzona, trzeba jeszcze oklepać ją trochę; może stępiła się na rannej rosie.

Dzyń, dzyń, dzyń rozlega się w czystym powietrzu. A skowronek, podlatujący w błękity, echem odpowiada.

Kosy w porządku. Rozpoczyna się praca.

Przodownik, młodzian wysmukły i silny, przeżegnał się, plunął w dłoń i położył z rozmachem pierwsze pokosy. Za nim szedł drugi, trzeci... dwunasty. Pszenica ściele się u nóg kosiarzy; oni idą coraz dalej i dalej, nie troszcząc się wcale o to, że szerzą naokół trwogę i popłoch. Bo ileż istot żyło szczęśliwie w owym pięknym łanie pszenicznym. Tak im tam było dobrze i zacisznie.

Na odgłos kosy zerwało się stado kuropatw i, zniska podlatując, szuka trwożliwie innego schronienia. Gromadka tłustych przepiórek ucieka tak szybko, jak tylko może, choć nie wiedzą biedaczki, którędy i dokąd. Młody zajączek spał w bróździe. Zbudzony nagle, dał drapaka, lecz na wpół przytomny—wpadł prosto na kosiarzy i wywołał małą przerwę w pracy i małe zamieszanie... Biedzonki, koniki polne chronią się w ścierniu, przy samej ziemi; kret cicho siedzi w jamce: rude myszki chowają się do norek. Tylko pszczoły i motylki, na jednym miejscu spłoszone, lecą dalej, obojętne na to, co się wokoło nich dzieje.

Na łanie strach i smutek; za to na polnej gruszy nieopisana wrzawa. Zleciały się trznadle, wróble i inne łuszczaki, radując się wielce, że na ściętej przeniczce łatwiej się będzie pożywić. Za młodu spijały one mleczko z miękkich ziarn zbożowych, lecz teraz trudno się już było utrzymać na wiotkiej łodydze. ,,Filip słał, a Bóg dał'', ćwierkają wesoło i wkrótce zabiorą się do uczty, gdy tylko kosiarze oddalą się nieco.

A niestrudzeni pracownicy równym krokiem idą ciągle naprzód. Już duży szmat pola skoszony. Coraz dalej szłychać monotonne ostrzenie kosy.

Słońce podnosi się wraz wyżej, już świeci prosto nad głowami kosiarzy. Południe — czas odpoczynku i pokrzepienia ciała.

Pokosy przesychają, pięknie, można je zbierać w garści i wiązać w snopy.

Do owej roboty staje gracko wesoło drużyya harcerzy. Za gościnę we dworze — dopomagają przy żniwie. Zaroiło się na łanie: praca idzie zwinnie i ochoczo. Wprawili się już przy życie, bo z początku to nie szło tak gładko, zwłaszcza tym do szpiku kości ,,miastowym'', co to wieś tylko z książek zna-

li. Lecz przy dobrej woli trudniejszych się nawet rzeczy człowiek nauczy, niż robienie powrzoseł i wiązania snopów. Dobra wola i wytrwałcść to grunt...

Na obszernym łanie już kosiarzy nie widać; przeszli z kosami na inne pole; lecz młodzi harcerze jeszcze przez dni kilka uwijali się na pszennym ściernisku. Ustawiali snopy w mendle, a potem zwozili je do stodoły lub układali w sterty.

Pracowali zamaszyście — po harcersku. Najsumienniej—Janek; najpilniej—Kazik; a najzapalczywiej Stacho, ulubieniec całej drużyny.

— Co tam wiązać snopy, odezwał się Bolek, — na przyszły rok to ja się do kosy wezmę.

— A jabym wolał postawić ją na sztorc—odrzekł Stacho z zaiskrzonymi oczyma.

— A ja choćby cepem walić: łupu, cupu! łupu, cupu!—krzyknął wesoły Franek.

— Tymczasem podawaj, aby skończyć przed zachodem; przyjdzie czas na wszystko—odrzekł drużynowy.

. . . .

Nie wiedział ani Franek, ani drużynowy, że na polu odbywała się już od paru dni młocka bez cepów i młockarni. Kilka garncy złotego ziarna wykruszyły łapkami chomiki i zaniosły je w woreczkach, z którymi się nie rozstają, bo umieszczonymi po boku pyszczka, do podziemnej śpiżarni. Gospodarne to plemię, pracowite, a zapobiegliwe. W podziemnem mieszkaniu osobno komora na zapasy zimowe, aby nie umierać z głodu. Ludzie się teraz od nich uczyć muszą...

Nie spostrzegł chomików żaden ze skautów, a byłoby to ciekawe i pożyteczne tropienie. W zasobnej tych zwierzątek śpiżarni można nieraz znaleźć spore zapasy.

. . . .

Słońce zachodzi w całym majestacie. Cichną szmery i poszumy polne, milknie pieśń skowrończana; ukojenie wieczorne spływa na całą przyrodę. Spracowana drużyna wraca na wieczerzę.

Różne wśród niej charaktery, różne upodobania i różne myśli.

Jeden zebrał garść kwiatów przydrożnych i z zajęciem bada każdy z osobna. Drugi — jak to robi codzień, rozgląda się po okolicy i układa w myśli obozowisko, gdzieby należało rozstawić wedety, skąd napaść na nieprzyjaciela za wzgórzem. Dziś wieczorem naszkicuje cały plan... Trzeci—zajęty śledzeniem tropu: ludzi, zwierząt, wehikułów. Nos spuszcza, oczy wlepia w ziemię... ale chomika w przenicy nie widział... Ci trzej milczą uparcie: każdy zajęty swymi myślami.

W innej gromadce ożywiona rozmowa.

Stacho mówi z zapałem o pracy ziemiańskiej:

— Rolnictwo podstawą naszego bytu. Od pola się wywodzim i polność to nasza cecha znamienna. Do rolnictwa z całym natężeniem zwrócić się należy.

— Udoskonalić technikę rolną, mieć pługi elektryczne, jak w Ameryce i Anglji, zastosować machiny na rozległą skalę, odpowiada Henryk, urodzony technik.

— Płaska uprawa i dreny. Cały kraj zdrenować.

— Przedewszystkiem zorganizować wielką akcyjną składnicę zboża i nie dać się wyzyskiwać niepotrzebnym pośrednikom, wtrącił Józef, uczeń szkoły handlowej.

— A ty będziesz tej składnicy dyrektorem.

— Dlaczego nie. I owszem. Od pracy się nie uchylam. Wszyscy przecież do niej staniemy, wszyscy przyszłą Polskę budować będziemy.

— Wszyscy, wszyscy! zawołał z ogniem romanityk Adaś, zwany poetą, lecz pamiętajcie, co mów- Konopnicka:

Temu tylko pług, a socha,
Kto tę czarną ziemię kocha,
Kto ten zagon zna do głębi,
Kogo rosa ta nie ziębi,
Kto rodzinnych swoich pól
Zna wymowę—łzy i ból!

Temu tylko ostra brona,
Na kurhanach wyszczerbiona,
Kto ukochał lud w siermiędze,
Kto zna twardej doli nędzę;
Kto wyciągnął, jako brat,
Dwoje ramion do tych chat!

Temu tylko kosa krzywa,
Kto w przyszłości wierzy żniwa...
Kto po nocach cichych słucha
Przyjścia zorzy, tchnienia ducha,
Komu lemiesz—to dziś miecz —
A wy, zimni, z pól tych—precz!

Jadwiga Warnkówna.

SPRAWA SUŁTANA.

Przed budą Sułtana wiódł gorącą dysputę czternastoletni Staś z nauczycielem swoim panem Rawiczem. Poczciwy Sułtan zjadł swoje zęby, — wyraźniej mówiąc — wysłużył zupełną emeryturę w domu rodziców Stasia przez kilkunastoletnią wierną służbę w psiej budzie na garści słomy u bramy, gryzł kości od obiadu, wrogów osobistych i urojonych z powodu najczęściej niepewnego zapatrywania w kierunku jego osobowości, ujadał na złodziei i nie na złodziei, wył do własnej tęsknoty i wolności w noce księżycowe zrywał się czasami z łańcucha i pędził dzikim, ciężkim galopem gdzieś przez ogród na bory, na lasy — aby potem na głos stróża najpo-

tulniej powracać w domowe pielesze w zgiętej, niewolniczej postawie po wały i nowy łańcuch.

Ustał wreszcie i tylko śliczna jego głowa kudłata, uszata, o skupionym bajecznie — jak u mędrca—wyrazie wychylała się przez dnie całe z budy, a z przymrużonych, zielonkawych oczu coraz większa wyzierała w słoneczny blask życia apatja i zniechęcenie. Czasami tylko, gdy pchły go silniej niż zwykle o prawa do swojego bytu dopytywały, tarzał się i warczał z głuchą, posępną skargą starczą, w której niema już ani przekleństwa, ani wymysłów, ani rozpaczy, — jest tylko urąganie własnemu niedołęztwu i niemocy bezsilnej. Dwie tylko istoty ze świata młodego miały jeszcze przystęp do zgrzybiałości Sułtana;— był to — mały foksik Elfik, który przychodził z nigdy niezaspokojonem łakomstwem wylizywać jego miskę, tarmosić w chwilach dziecięcego humoru jego skołtunione kudły na karku z namiętnem naszczekiwaniem szczeniaczej rozkoszy, lub spać zwinięty w bułkę w kącie starej budy, gdy go figle i wałęsanie się całodzienne zupełnie zmęczyły — no i Staś wreszcie.

Ten się zjawiał zwykle, gdy go napadała melancholja nudy, która się zwykle włóczy za każdym podrastającym chłopcem, gdy możność czynu nie dorównywa zapałom temperamentu. Siadał przed budą i przez całe godziny pieścił starego psa, wybierał mu rzypy i kleszcze, rozczesywał kołtuny, smarował lekarstwem obrzęki na łapach, zmieniał mu wodę i słomę w sienniku. Sułtan już był bez łańcucha, nikt go nie wiązał i do niczego nie przymuszał, on jednak nie mógł się rozstać ze swą budą i bramą i tu kończył dni swoje.

Wreszcie zęby i słuch i węch przeszły do przeszłości, stary katar żołądka wysuszał stare psie cielsko na suchar, bulgocząc nieprzyzwoitymi sarkazmami życia gdzieś po obolałych kiszkach, artretyzm podciął łapy i zwiesił ku ziemi łeb kudłaty. Z zaszłych bielmem oczu patrzyła śmierć zimna. Czy jest co smutniejszego nad starego psa? Jestto jakiś opuszczony król Lear, samotny wygnaniec Prospero, ranny i chory błędny rycerz—Don Kiszot, do którego przychodzą tylko smutek, ból i przygnębienie, aby czuwać nad jego bezsennością. Z podwiniętym ogonem, opuszczonym zadem, utykając na łapy obrzękłe i brocząc z warg śliną sunie chyłkiem pod płotem taki dziad psi, wstydzi się swoich łachmanów, szarzyzny i opuszczenia, ma takie przesmutne oczy bolesne, że zajrzeć w nie poczciwie musi każdy, kto chce zobaczyć, jakie ma oczy starcza niedola. Z oczu tych patrzy zwykle już nie tęsknota nieba, a ziemi. Widać ta tęsknota silniej uderzyła dzisiaj Stasia, gdyż pobiegł on po pana Rawicza i z nim oto właśnie odbywał naradę, jak skrócić męczarnie życiowe wiernego stróża domu. Staś chciał psa uśpić dawką chloroformu, lecz że go w domu nie było, prosił więc pana Rawicza, aby zużytkował ze swoich wiadomości przyrodniczych jaki inny sposób przenoszenia zwierząt domowych do wieczności. Chodziło mu zdaje się o kokainę, którą posiadał pan Rawicz, i oto aby nauczyciel sam załatwił sprawę łagodnej śmierci Sułtana. Rawicz nastawał na to, że Sułtan śmierć dobrą przyjąć może z ręki najbardziej mu oddanego ze wszystkich Siasia.

— „Powiedz mi Stasiu — mówi pan Rawicz — z czyjej ręki ukojenie cierpienia jest najposłuszniejsze według słów miłości—z obcej, czy blizkiej?”

— „Ależ drogi Panie ja co do tego niemam najmniejszej wątpliwości, tak jak niemam wątpliwości w przywiązanie moje do tego konającego Sułtana. Lecz proszę pana — mnie drżą ręce... ja niemam siły zadać mu śmierć pomimo to, że wiem, że będzie ona dla niego ukojeniem, końcem męki”.

— „A właśnie Stachu mnie o próbę Twojej siły dzisiaj chodzi. Tej siły, o której mówiliśmy wczoraj, która każe sercu największe ciężary brać na siebie, a nie zlecać je innemu do podniesienia”.

— „Ale czyż to konieczne, żebym ja zabijał— to takie straszne!”

— „Konieczne nie, pożądane dla mnie, który chce w Tobie widzieć Zucha. Spokojnie bandażowałeś złamaną łapę kotowi i wyleczyłeś go, wylecz że Sułtana mocnym, zdecydowanym ruchem dłoni, on Cię o to prosi”.

— „Dobrze Panie — już się zdecydowałem”.

W kilka chwil potem celny strzał z rewolweru włożonego pewną ręką Stasia w ucho Sułtana skończył męki i dni tego ostatniego. Stary pies ani drgnął, wyprostował się zlekka i cicho po strzale, popatrzył w Stasia głębią zielonych źrenic, złożył głowę na ziemi i oczy zeszkliły mu się momentalnie. W kilka godzin później w cieniu kępy brzóz płaczących w rogu parku odbył się pogrzeb nie imponujący, ale i nie zdawkowy. Staś złożył w wykopanym własnoręcznie dole głębokim Sułtana, nakrył go rogożą, włożył mu do grobu pordzewiałe resztki jego łańcucha, a Siostra Stasia 10-letnia Dziudzia pokryła zwłoki wiernego psa kwiatami.

Na zasypanej szybko mogile zasadzono później sadzonki kwiatów, które bujnie i wesoło przykryły ją barwnym kobierczykiem wesela kwietnego, a brzozy płaczące zaszumiały słodką pieśń życia.

Budy Sułtana Staś zabrać nie dał, zaglądał do niej często, mówił, żę widzi cień Sułtana w ciche, księżycowe noce—błąkający się po samotnych alejach parku. Ojciec zburczał go za przeczulenie i rozpoetyzowanie, wyraził obawę, czy chłopiec nie traci męskości. Staś obawom tym w parę dni zaprzeczył, rzuciwszy się w ubraniu wpław do wody na bystrej i głębokiej rzece na ratunek jakiemuś tonącemu pastuszkowi. Zdołał go przez parę chwil utrzymać nad powierzchnią wody, zanim nie nadpłynęła łódka, w której siedział blady i przerażony do szpiku kości nauczyciel pan Rawicz, ku rze-

czywistej stracie głoszonych przez siebie zasad męskości nie umiejący wcale pływać.

Ojciec Stasia uściskał, Mama płakała ze wzruszenia, a Dziudzia przytuliła złotą główkę do ramienia Stasia i spytała cicho — Stasiu — ty pewnie będziesz skautem?"

— ,,Bardzo być może — z uśmiechem odparł Staś — ale później to ja chcę być takim jak oni". Tu wskazał ręką na portrety dziada — jednego z naczelników powstania i pradziada szwoleżera.

Leszczyc.

W szkole amerykańskiej.

II.

Rasa anglo-saska gorąco lubuje się w sportach. Ziemie tej rasy to klasyczny teren zawodów sportowych, ojczyzna wielu gier, ćwiczeń, rozwoju fizycz-



nego, zapasów piłkowych, regat i całego szeregu gier ruchowych, entuzjazmujących chłodnego syna Albionu.

Emigranci angielscy do dziewiczych ziem Ameryki ponieśli też owo umiłowanie sportów, a tam, na terenie Stanów Zjednoczowych i Kanady, rozwinęło się ono wspaniale i stworzyło jeden z poważnych czynników życia młodzieży.

Jeżeli na regatach wioślarskich w Anglji, gdy stają do zapasów dwa prastare uniwersytety Oxford i Cambridge, gromadzi się czasem półtora miljona widzów, to i na boiskach Filadelfii, gdy w ulubiony ,,base ball" staje do zapasów np. ,,Army and Navy" (armja i marynarka), krocie widzów zapełnia trybuny, a nie brak bezpłatnych spektatorów na dachach, drzewach, gzymsach i kominach.

Base ball wyprowadza z równowagi szkoły, uniwersytety, fabryki, koszary, nawet szpitale. Wartość zakładów naukowych mierzy się ilością zwycięstw w zapasach base ball'u.

Namiętność do sportu ogarnia całą mozajkę narodowościową Stanów, gdzie przecież lokuje się 57 różnych narodów. Grają w base ball włosi, żydzi, irlandczycy, niemcy, holendrzy, czesi, grają murzyni i japończycy, grają indjanie i meksykańczycy, każdy chłopak za szczyt dumy uważa dla siebie odznaczenie z zapasów piłkowych

Rzecz naturalna, że i młodzież polska gorąco rwie się do wyróżnienia w sportach, a że jest naogół wybitnie zdolna i zręczna, nie dziw więc, że w zapasach zwykle bywa zwycięską.

Wielkie stowarzyszenie Związek Narodowy Polski (Polish National Alliance) otworzyło własne swoje Kolegjum w Cambridge Springs Pa, miejscowości nader malowniczej, zdrowej, bodaj w najładniejszym zakątku Pensylwanji.

Sąsiednie kolegja amerykańskie z niedowierzaniem patrzyły na nowego sąsiada, który niczem się nie zaznaczył dotychczas.

Ale nasze chłopaczki żywo zabrały się do pracy i ćwiczeń, a po paru miesiącach stworzyły zastęp piłkowy, który zwycięsko rozegrał zawóg base ball'u z sąsiedniem kolegjum amerykańskiem. W parę tygodni pobito innego sąsiada, potem trzeciego.

Iankesi z szacunkiem zaczęli spoglądać na młodą drużynę, noszącą na piersiach monogram P. N. A. C. (Polish National Alliance College) i do czasu, gdym opuszczał gościnne Cambridge Springs, (Maj 1914 r.) nasza drużyna nigdy jeszcze nie była zwyciężona.

Ruch skautowy w tym najpoważniejszym zakładzie naukowym polskim za oceanem rozwinął się też doskonale, a właśnie, gdym bawił w Cambridge Springs, odbywał się tam kurs instruktorski dla harcerstwa polskiego. Nasze drużyny skautowe spotykałem we wszystkich większych środowiskach polskich, a wybitnie dobrze zorganizowane w Buffalo i Chicago.

Wśród powolnych anglosaskich sportowców, wśród nerwowych drużyn z ludów romańskich, nasze chłopaki, idące do zapasów z mazurską fantazją i chłopskim sprytem, na pewne mogą liczyć zwycięstwa.

Al. Janowski.

Szczytami Łysogór.

— W miejscu, gdzie Czarna Nida przecina łańcuch gór Ś-to Krzyskich, dzieląc go na grzbiet Masłowski i Łysogórski, na wschodnim zboczu Masłowskiego Kamienia schodzącego aż do samej rzeki leżą Mąchocice, a nieco niżej, niedaleko już Czarnej Nidy stał domek naszej kolonji. Po drugiej stronie rzeki był pierwszy szczyt pasma Łysogórskiego, góra Radostowa, a za nią chowała się odlegla tylko o 6 wiorst Łysica.

— Z okien zwróconych na połnoc można było poprzez drzewa otaczające nasz domek zobaczyć poręby na Klonowej i Bukowej, a wybiegłszy późnym wieczorem na szczyt Radostowej widziałyśmy w południowo-zachodniej stronie horyzontu migocący pas światełek—Kielce.

— Takie było nasze stanowisko, które z łatwością odnalazłam na mapie leżącej na stole w pokoju sztabowym, lub inaczej świetlicy.

— Nasza mapa! Gdyby mnie kto spytał co mi dostarczyło najsilniejszych wrażeń na kolonji, odpowiedziałabym bez wątpienia, że mapa.

— I bodaj, że nie mnie jednej. Ile razy idąc do spiżarni, lub przechodząc obok okien świetlicy zajrzałem do pokoju napewno zobaczyłam którąś z dziewcząt wzdychającą nad mapą. Nic to dziwnego. Po wycieczce do Chęcin przekonałyśmy się, że dziewczęta naogół są tak wyczerpane, że o wycieczkach kolonji niema mowy. A było tyle cudnych projektów! Wprost coś ciągnęło na włóczęgę. Toż te wsi: Ciekoty, Bęczków, Porąbki, Krajno o których czytało się w pierwszym rozdziale ,,Popiołów'' były teraz najbliższem naszem sąsiedztwem. Tak jak to Żeromski opisuje, docierały tutaj podjazdy wojsk ks. Józefa idącego do Galicji. Zapewne okolicy ta, tak jak zresztą całe Sandomierskie i Świętokrzyskie była terenem walk powstańczych w 1863 r. Małogoszcza znajdowała się względnie niedaleko od nas.

— A w dodatku cudne lasy, mnóstwo ciekawych zabytków i pamiątek, śliczne stroje ludu, wszystko to nie dawało nam spokoju.

Nigdy nie miałam tyle ochoty do krajoznawczej włóczęgi, jak w tym roku.—Napróżno tłomaczyłam sobie, że jestem zanadto zmęczona, czego dowiodła mi chęcińska wycieczka, napróżno czyniłam niezłomne postanowienia nieoddalenia się od domu więcej jak na 2—3 wiorsty.

Ledwie tylko znalazłam chwilę czasu, zamiast książki lub szkicownika i farb brałam mapę i obliczałam drogę, oznaczałam odpoczynki i noclegi, obmyślałam wyekwipowanie. Szczytem tych marzeń był Sandomierz odległy o 90 km. wygodnej drogi. Byłam w Sandomierzu 4 lata temu i ciekawość mnie brała, jak też teraz wygląda kościół Świętego Jakóba, który wtenczac odnawiano. Po drodze miałyśmy zboczyć do Konar i Kozinka na grób kapitana Herwina.

Niestety, wszystkie te projekty spełzły na niczem, jako że nie wszyscy członkowie projektowanej wycieczki zależeli od siebie.

— Siedziałam tedy w Mąchocicach, dokładniej mówiąc przeważnie w kuchni i tłomaczyłam sobie, że widok z okna jest tak ładny, że stanowczo nie warto się męczyć, chodząc na wycieczki.

— Gdy jednak kilka starszych dziewcząt z kolonji, po wyprawie na odpust do Daleszyc, zaczęło układać plan wycieczki w góry Święto-Krzyskie, moje niezłomne postanowienie niemęczenia się, pod wpływem wspomnień wspaniałycd lasów na Łysicy zaczęło mięknąć coraz bardziej.

— Najmniej 10 razy miałam zamiar iść i znowu mówiłam, że nie pójdę. Ostatniego dnia poszłam do dworu piec chleb, co mi zajęło czas od 8-ej rano do 2-ej, słuchając jeszcze jednej krajoznawczo-skautowo-strategicznej dysputy na temat którędy iść i wracać i gdzie jest co ładnego, uczułam, że nie wytrwam w moim postanowieniu. Na gwałt zabrałam się do pakowania, a zajęło mi sporo czasu, gdyż trzeba było poczynić jeszcze pewne reperacje. Ostatecznie jednak, zdążywszy się jeszcze wykąpać w Nidzie, byłam gotowa na 4 min. 25, czyli że wycieczka spóźniła się tylko o 25 minut.

— Wierzyć mi się nie chciało, że naprawdę idę. Wdrapując się na Radostową miałam, nie wiem czemu, wrażenie, że lada chwila będę musiała wracać.

— Za Radostową spotkałyśmy się ze skautami z Kielc, którzy szli szczytem góry. Z nimi razem szedł równidż nasz towarzysz i przewodnik druh Janusz i druh Lolek ze dworu, z nieodłącznem pudełkiem farb.—Trochę nam się przeciągnęły miny, na wieść, że chłopcy idą razem z nami, gdyż wolałyśmy tę wycieczkę odbyć w swoim kółku. Postanowiłyśmy zatem rozstać się po pierwszym postoju.

— Tymczasem jednak szło całe towarzystwo w zgodzie, rozmawiając o trześniach w poblizkiej wsi, jako że było gorąco, a z nami razem szedł Boy, nieznośny foksterjer, uważający sobie za obowiązek gonienie każdej owcy spotkanej po drodze.

— Wkrótce towarzystwo, nie znające się dobrze, podzieliło się jak następuje: przednia siła jak zawsze p. Marysia, za nią p. Irena i druh Janusz, obgadując bez litości wspólnych znajomych, za nimi ja z druhem Lolkiem, obgadując na szczęście tylko piękne widoki, nieco z boku Wanda i Marysia czyniące półgłosem złośliwe uwagi na conto współtowarzyszy, a na końcu gromada chłopców wołających na różne głosy bez przerwy: ,,Boy, Boy'', zarówno przeraźliwie, jak bezskutecznie, a z cierpliwością godną lepszej sprawy.

— Szliśmy przez pola, przeskakując od czasu do czasu małe strumyczki, co spływały z za Radostowej do Czarnej Nidy i rozglądając się po okolicy, którą wyzłociło zachodnie słońce, nadając sinym



Obóz harcerzy krakowskich.

smugom lasów na horyzoncie fioletowy, cieplejszy ton. Między ciemne połacie lasów na Klonowej, Bukowej i zboczu Masłowskim, co z północy i z zachodu otaczały kotlinę, wrzynały się jasne płaty rżysk, złote pola owsa i zielone kartofli.

— Wołaliśmy: ,,Boże dopomóż'' żniwiarzom, na co odpowiadano: ,,daj Panie Boże'' i pytano skąd i dokąd idziemy. Żniwa rozpoczęły się już od kilku dni, ale chociaż niby to był urodzaj, zboże rzadkie i marne. Nic dziwnego, bo ziemia nieurodzajna i kamienista; uprawa nieszczególna, gdyż lud mało oświecony, a w dodatku koni niema. Zastępują je teraz krowy. Pytałyśmy się jednego gospodarza z Ciekot, któregośmy właśnie z takim zaprzęgiem spotkały, czy krowy pracując tak ciężko nie dają mniej mleka, ale odpowiedział, że teraz o krowy tak się dba, jak o konie (rzeczywiście, krowy są tak czyste, jak się to wiejskim krowom rzadko zdarza) i lepiej się je karmi, więc im to nic nie szkodzi. Robota jednak idzie znacznie wolniej, niż z końmi.

— Szliśmy teraz rozmyślając i rozmawiając o gospodarstwie.

— Druh Janusz, kujawiak, a przytem zawołany gospodarz, kiwał z politowaniem głową na widok kieleckich plonów i raz po raz zwracał się do p. Ireny: ,,Nie takie u nas żyto, prawda?'' albo: ,,czy kto widział kiedy na Kujawach taki łubin?'' i t. d.

— Dochodzimy do Świętej Katarzyny. Niebieszczy się zdaleka świeżo wystawiona przy drodze kapliczka, którą mijamy, gdyż niema w niej nic ciekawego, przy drugiej zatrzymujemy się nieco, odnajdując na jej ścianach podpisy sławnych ludzi i różnych znajomych, (sami jednak postanowiliśmy się nie podpisywać) i podchodzimy do klasztoru.

— Widok jest śliczny. Słońce różowym blaskiem oświetla mury klasztoru, znacząc na nich błękitne cienie kilku rosnących przy drodze topoli włoskich. Za klasztorem zaraz zaczyna się ciemny, jodłowy las, ciągnący się aż do szczytu Łysicy, po drugiej stronie drogi, nieco na północ stoi niebiesko wybielona chata z malwami i słonecznikami w ogródku, za nią szereg innych, przeważnie tak samo malowanych i z takiemi samemi ogródkami. Widzieliśmy później ze 20 wsi, a nigdzie nie było tyle kwiatów przed chatami co w tej.

— Klasztor nie zmienił się od czasu, gdy go widziałam 4 lata temu, tylko pokryto go nowym blaszanym dachem i ogrodzono nowym żółtym płotkiem, który aż się prosi, żeby go stamtąd zabrano. Płotek ten specjalnie drażni malarską duszę druha Lolka, który pomstując na taki brak zmysłu estetycznego, wchodzi z nami za bramę i do kaplicy. W kaplicy nic ciekawego niema. Odczytujemy umieszczony przy drzwiach opis historji klasztoru, co druh Lolek dostrzegłszy pod tym wezwanie do składania ofiar na odnowienie klasztoru przerywa nam okrzykiem: ,,aha, żeby za moje pieniądze później takie płotki stawiali'' i odchodzi, z pogardą wsunąwszy ręce w kieszenie.

Historja klasztoru przedstawia się w krótkości tak: biskup krakowski Jan Rzeszowski wybudował w XV wieku u stóp Łysicy kościołek pod wezwaniem Świętej Katarzyny i osadził tam bernardynów, którzy mieszkali tam aż do roku 1817. W tym roku spłonął klasztor bernardynek w Drzewicy i zakonnice przeniosły się do ustąpionego im przez bernardynów klasztoru i w nim do dziś mieszkają. Zakonnice nigdy nie wychodzą po za obręb klasztoru.

— Z kaplicy wychodzimy znowu na rodzaj małego podwórka, czy raczej przedsionka, choć nie posiadającego dachu.

— Nie wiem, czy z tą myślą budowano owo podwórze, ale chyba każdy, kto tam wchodzi doznaje tego miłego wrażenia spokoju. Za bramą pozostało życie wsi, cichy pogwar zbóż i traw, dziwne szepty odwiecznego boru, a tu znajdujemy się wśród 4 dość wysokich, niebieskawych ścian, które sprawiają wrażenie, że jesteśmy już wewnątrz budynku, gdy tymczasem mamy nad sobą tylko niebo. Ogarnia nas łagodne, niebieskawe światło i dziwnie kojąca cisza. Czuje się naprawdę, że to przedsionek miejsca,

którego próg raz tylko za życia się przestępuje, a jednak niema tego nastroju przygniatającego rozpaczą zdławionej chęci życia, szarpiącego przeczuciem nieszczęść zmagań i zgrzytów jaki czułam zawsze wyglądający z poza krat, czający się w przedsionkach i murach klasztornych, mieszający się z szeptem modlitw i rozmyślaniami o wieczności.

— Tutaj tego niema! Jest tylko taki spokój, że wszyscy staramy się chodzić cicho i rozmawiamy półgłosem.

— Nastrój ten jednak nie trwa długo, gdyż szczekanie głodnego Boya za bramą i zapach wieczerzy gotowanej w klasztorze, przypomina nam, że trzeba się starać o żywność na kolację i na jutro.



Kolonja w Porębie Wielkiej. Druh komendant wykłada.

— Spytawszy jeszcze, czy nie można zwiedzić chociaż kawałka klasztoru i dowiedziawszy się że nie, poszliśmy do wsi szukać żywności i noclegu. W schronisku Tow. Krajoznawczego nie chcieliśmy nocować, gdyż kilku członków naszej wycieczki, już przedtym przekonało się na własnej skórze, że są tam robaczki... nie świętojańskie. Pomieszczenie znalazło się u młynarza, który miał dużą stodołę przedzieloną na 2 części: w jednej ulokowali się chłopcy, w drugiej my.

Nawiasem mówiąc, młynarza tego druh Janusz znał jeszcze z poprzedniej wycieczki odbytej przed 8 dniami w towarzystwie kilku warszawskich harcerzy. Młynarz wtedy zgodził się ich przenocować, lecz nie chciał sprzedać chleba, mleka, ani jajek, mówiąc, że niema.

Sytuacja była całkiem tragiczna, gdyż podczas wojny chłopi niechętnie coś skupiają i nie można było liczyć na dostanie produktów we wsi, skoro najzamożniejszy gospodarz nic nie ma.

Tymczasem gospodyni zauważywszy, iż jeden z chłopców ma aparat, zaproponowała, żeby ,,panowie'' zdjęli jej synka, to ona za fotografję zapłaci. Na to jednak chłopcy odpowiedzieli zgodnie, że sfotografują małego za darmo, jeżeli młynarz sprzeda im trochę żywności. Wtedy dopiero znalazło się wszystko czego ,,nie było''. Przytaczam to, na dowód, że aparat fotograficzny może czasem oddać ważną usługę, co może poświadczyć zresztą wiele osób, które odbywały wycieczki z aparatem. Często fotografja jest bardziej pożądaną zapłatą niż pieniądze.

Tym razem młynarz sprzedał nam wszystkie jaja, jakie miał. Odstąpiliśmy je chłopcom, gdyż miałyśmy swoje jeszcze z Mąchocic i poszłyśmy do wsi po mleko na jutrzejsze śniadanie.

(D. C. N.)

DO OBOZU.

Zastępy nasze, to jest Tomka i mój, znajdowały się w zupełnie przeciwnych kierunkach, w odległości od siebie przynajmniej trzydziestu wiorst, a mieliśmy jednego dnia i to dnia jesiennego, do zmroku podejść i zdać odpowiedni raport. Postanowiliśmy się załatwić najpierw z moją komendą.

Byliśmy na miejscu w ,,Zagonie'' jeszcze przed czasem, bo o 10 rano, gdy tymczasem moi ludzie mogli być najwcześniej o 10½. Zachowując możliwe ostrożności (zatarliśmy wszelkie ślady na błotnistym gruncie i piasku) zajęliśmy stanowisko wyczekujące za krzakami w pobliżu ścieżki, którą zastęp musiał przechodzić, dążąc do miejsca, gdzie zwykle bywał obóz.

Przeszło pół godziny, potem drugie — nikogo niema...

Byliśmy już prawie zdecydowani wracać, gdy nagle, wychyliwszy się z za krzaka, ujrzałem kilka zielonych koszul i kapeluszy. Byli to oni, przesuwali się wolno, badając ślady, jakby coś przeczuwali. Padłem jak długi na ziemię (a proszę sobie wyobrazić że działo się to tuż za gospodarskiemi zabudowaniami!) i leżałem dopóki nie przeciągnęli i nie zniknęli za węgłem domu. W tej chwili przyczołgał się do mnie

Tomek, ręce miał umorusane w błocie i podrapane przez kolczaste zarośla, ale podkradł się zato do nich bardzo blizko: wiedział doskonale, ilu było, kto i dokąd się skierowali.

Zrobiliśmy walną naradę.

Chcieliśmy podejść ich z dwu stron od południa i od północy.

Tomek obrał południową stronę. Ja ruszyłem na północ, przebrnąłem koło domu moczary i ruszyłem ich brzegiem ku wschodowi, równolegle do drogi zastępu.

Cicho było zupełnie tylko liście padały z drzew i lekko szemrało źródełko. Właśnie koło źródełka posłyszałem pierwsze głosy obozu.

Kryjąc się za krzakami, przeszedłem jeszcze kilkadziesiąt kroków, stanąłem, zdjąłem plecak i ukryłem go głęboko w gęstych zaroślach.

Począłem iść coraz ostrożniej.

Na prawo na południu, za rowem i bagienkiem, stała czata, patrzała, zdawałoby się wprost na mnie. Jednak krzaki były gęste, wysokie sitowie stanowiło doskonałą zasłonę. Z drugiej strony na jasnym piaskowym półwyspie był obóz. Dolatywał mnie stamtąd gwar cichy i słowa komendy.

Miałem zadanie podobne, jak Skrzetuski pod Zbarażem, tylko wprost śmiesznie małe w stosunku do tamtego: przedemną były moczary, rów, sitowie, dalej obóz, za mną otwarte pole, nawet do odwrotu teren niezdatny.

Zawiesiłem na szyi szkicownik i ołówek, kompas i zegarek, tak, aby mi najmniej przeszkadzały, a były w każdej chwili pod ręką, owiązałem głowę sznurkiem i pozatykałem za niego traw i ziół, poczem powoli wysunąłem głowę z za krzaka i począłem się czołgać wśród gęstego sitowia, rozgarniając zlekka przed sobą trawy i posuwając się cal po calu, z za krzaka za krzak. Zatrzymywałem się co chwila, by zanotować dosłyszane wyrazy z rozmowy. Rów był szczęściem, prawie suchy, poszło mi więc dość łatwo, ale zato grunt, po którym się czołgałem, stawał się coraz bardziej i bardziej mokry. Zagarniałem ostrożnie, jak mogłem, najwięcej sitowia, by zrobić sobie z niego coś w rodzaju pomostu. Kolana i ręce miałem całe zawalane błotem. Na dobitkę miejscami (gdzie było nieco suszej) musiałem się posuwać wśród pnących się dzikich róż i jeżyn, więc i ręce miałem dobrze podrapane. Za jednym z drzew zatrzymałem się dłużej, by nabrać tchu. Od straży obozu nie dzieliło mnie więcej jak 50 kroków prawie zupełnie otwartej przestrzeni.

Widziałem doskonale z za drzewa sylwetkę sygnalizującego na wzgórku, kucharza, jak się uwijał wokoło płonącego ogniska, straż na ścieżce koło moczarów i linję zbiórki — cały obóz.

Notowałem to wszystko, robiłem mały szkic i śmiałem się w duszy z komendanta obozu, z czaty i ze wszystkich tam w obozie o kilkadziesiąt kroków ode mnie.

W tej chwili zastępowy, Wojtek, rozpoczął mustrę. Notowałem każde słowo komendy, każdy ruch ćwiczących. Było ich dziewięciu; jak na dłoni widziałem, jak chodzili i biegali, rozsypywali się i zwijali, aż wreszcie ruszyli w moją stronę. Byłem przekonany, że mnie zobaczyli. Doznałem dziwnego uczucia: nieprzyjemnie mi było, że mnie zobaczyli. Leżałem plackiem, wyciskając z pod siebie przez dłuższe ugniatanie rozmiękłej ziemi, całe strumienie wody.

Omyliłem się jednak wielce: zastęp ruszył zmieniać wartę.

Nagle ozwał się gwizd przeciągły.

Czatownik, jak oparzony skoczył przed siebie, sadząc przez kępy, sitowia, krzaki i pnie. Za nim raźno ruszył cały zastęp.

— Złapali Tomka — pomyślałem. Za chwilę ukazał się on rzeczywiście w otoczeniu zastępu. Opowiadał im coś głośno, aby mnie ostrzedz i zawiadomić o sobie. Tymczasem, korzystając z zamieszania, posuwałem się dalej jeszcze, ostrożniej. Wszystko się uspokoiło, rozstawiono znów straże, ale wogóle dość rzadko (mimo ostrzeżeń Józia, który coś jakby przeczuwał), wzięto się do gotowania obiadu i zbierania drzewa. Urządzono w tym celu i wycieczki w moją stronę, ale jakoś ich szczęśliwie uniknąłem. Tomek szedł na stoku i począł z cicha gwizdać umówioną piosenkę, szukając mnie oczyma wśród sitowia.

I znalazł mnie, bo za chwilę ruszył ku mnie, niby to szukając drzewa na opał, a przechodząc obok rzucił karteczkę.

Miałem jeszcze kilkanaście kroków.

Tuż za linją zbiórki od strony moczarów było drzewo, otoczone u podnóża krzewami. Tu zmierzałem i za chwilę już byłem. Wystarczało teraz wyciągnąć rękę, aby porwać jaki przedmiot, leżący na linji zbiórki. Czekałem jednak, bo właśnie Wojtek coś szukał w swym plecaku, a Tadek zbierał chróst nie dalej, jak o 5 kroków ode mnie. Zwinąłem się za drzewem w kłębek.

Gdy odeszli wysunąłem się powoli, nikogo nie było, tylko Tomek zdaleka śmiał się, patrząc na moje manewry i zapewne śmieszne w tej chwili ruchy. Straż stała na ścieżce za pierwszym zakrętem, wszyscy byli zajęci za wzgórkiem.

Wtem ukazał się Wojtek. Na sygnał Tomka, nie namyślając się wcale, wsunąłem się pod dużą pelerynę na linji zbiórki. Za chwilę, gdy już „niebezpieczeństwo” minęło, wysunąłem się z pod peleryny i porwawszy dowód mej obecności w obozie (a więcej dla uciechy!) but, znurkowałem w sitowie.

Dopiero, gdy zmęczony i przemoczony powróciłem do swego plecaka i tam złożyłem bezpiecznie „zdobycz” w postaci buta z cholewami, pokazałem się niespodziewanie, czem wywołałem ogromne zdziwienie, a zarazem wesołość z powodu nieszczęśliwego buta”.

Dostało się porządnie zastępowym, no i czatom. Od tego czasu zastępowi już zawsze pamiętają, by

zabezpieczyć obóz przez gęste czaty. Nie popasaliśmy jednak długo, bo i Tomka i mnie czekało dziś jeszcze podobne drugie ćwiczenie, które zarówno, jak to, powiodło nam się pomyślnie. Taki to już był wtedy ,,szczęśliwy dla nas dzień'.

Ster.

□□□□□□□□

Pierwszy raport.

Niech Sz. Czytelników nie zdziwi niezwykła liczba Jadź i Wand, ale tak się złożyło, że w przekradaniu brały udział wszystkie Jadzie (jest ich w drużynie 10) i Wandy.

,,Jadziu! Wando". Chodźmy prędzej do sali! Ma być zbiórka! Ja się przebieram za Moskala, za Moskiewskiego żołnierza! krzyczy, wpadając do klasy Mirutka. Otwieram jak najszerzej oczy, bo nie mogę zrozumieć zupełnie o co chodzi. Dlaczego Mirutka ma się przebrać i to w dodatku za Moskala (w Warszawie już byli Niemcy). Tymczasem wpadamy do sali. Krzyk, śmiech, gwar najokropniejszy... W końcu dowiaduje się, że ma być przekradanie na placu Wareckim. Część naszej drużyny ma się przebrać, druga część — stać na warcie. Chodziło o to, która będzie o tyle spostrzegawcza i pozna przebraną. Byłam uszczęśliwiona, bo cóż przyjemniejszego może być, jak przebrać się i to tak, żeby nikt nie poznał. Miałam się więc przebrać za dorastającego podlotka, a Wandzia, moja najlepsza przyjaciółka, za asystującego mi dżentelmena. W każdym bądź razie miałyśmy wyglądać ,,très correctes et distinguées".

Zbiórkę prowadziła w zastępstwie Jadźki, zastępowa Wanda, która nie pozwoliła Wańdzi przebrać się za chłopca. Musiałyśmy iść po pozwolenie do Jadźki. Nie zastałyśmy jej, ale zato kartę z pozwoleniem, pod warunkiem, że będziemy się porządnie zachowywały, gdyż ćwiczenia nie powinny zwracać uwagi publiczności. Po powrocie do domu o niczem innem nie myślałam, jak tylko o niedzielnem przekradaniu.

Nareszcie nadszedł ów pamiętny dzień! Ubrawszy się odpowiednio udałam się do Wandzi niezwykle poważnie krocząc po ulicy. Jak grom z jasnego nieba, spada na mnie wiadomość, że Wańdzia nie przebiera się, gdyż nie umie się ruszać w ubraniu męskim. Udajemy się na plac, jako zwykłe śmiertelniczki. Koło Boduena jakiś jegomość z wąsami zachodzi nam drogę i nie chce ustąpić. Przestraszone chcemy uciekać, kiedy w mniemanym napastniku poznajemy Jadźkę-Wilka (jest to jej przezwisko). Co to śmiechu było, który wkrótce miał się zmienić na płacz. Ale opowiadam pokolei. Idąc dalej spotkałyśmy Jadźkę F, przebraną za wiejską dziewczynę. Bardzo dobrze wyglądała. Już na placu idzie naprzeciw jakiś skaut, coprawda bez sznurka i epoletów, ale wywijający na wszystkie strony szpicrutą. Robimy z Wandą bardzo poważne miny (jak zwykle, kiedy przechodzimy koło skautów), gdy naraz mniemany skaut podchodzi do nas i salutuje. Masz tobie! Już drugiej nie poznałyśmy. Niech żyje spostrzegawczość! I tak wędrowałyśmy po placu, coraz to którąś spotykając. Można przyznać, że były bardzo dobrze przebrane. W tym czasie nadeszły Jula i Miruta, które też się nie przebierały. Stałyśmy sobie i rozmawiały o przekradaniu, gdy naraz uwagę naszą zwróciła jakaś staruszka, w okularach, w chustce na głowie, z różańcem i książką do nabożeństwa w ręku. Do tego oczy spuszczone w dół. Idąc bardzo powoli, wyglądała na prawdziwą dewotkę. Widocznie szła do kościoła, albo z kościoła (godzina była dziesiąta). Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie bardzo młoda twarz i usta, po których krążył uśmiech. ,,Wanda!" wykrzykuję naraz i biegniemy, żeby się jej lepiej przyjrzeć. Wtem pędzą jakieś 2 panie do nas w białych kapeluszach i białych woalkach. Z początku nie poznawałyśmy, ale potym... O nieba! Wszak to Jadźka z Niutą. Stanęła przed nami rozgniewana okropnie, nigdy j jeszc ze taką nie widziałam i głosem bynajmniej niełagodnym zakomenderowała: ,,Wszystkie tu obecne dziewczyny staną do raportu na pierwszej zbiórce drużyny". A teraz marsz do domu! Na dźwięk tego głosu pomimo woli stanęłyśmy wyprostowane, a potem odrazu Wanda z Mirutą w jedną, ja z Julą w drugą stronę rozeszłyśmy się jaknajprędzej; kiedy i gdzie zginęła nam ta dewotka nie umiałabym powiedzieć! Szłyśmy z Julą do kościoła na Moniuszki z początku w głębokim milczeniu; nie mogłam wprost ochłonąć z wrażenia, tak się to wszystko raptownie stało. W kościele nie mogłyśmy się wcale modlić. ,,Jula! Jula!. Co to będzie, co to będzie!" — mówiłam. ,,O! Boże!" — wzdychała Jula. Powracając do domu umówiłyśmy się przyjść wcześniej do szkoły, żeby pogadać o tym obszerniej. Na drugi dzień zawiadomiłyśmy o wszystkiem nasze zastępowe, a wynikiem rozmowy było postanowienie przeproszenia Jadźki. Jula i Miruta przeprosiły tegoż dnia, ja i Wanda na drugi dzień przed śpiewami. Podczas śpiewu Jadźka się dziwnie jakoś uśmiechała, nie wiedziałyśmy co to znaczy, w każdym bądź razie mówiłyśmy sobie, że Jadźka nie tak się bardzo gniewa. Pomimo to, na samą myśl raportu zimno się robiło. W końcu nadeszła ta chwila, co to było strachu! Serce mi tak biło, jak przed czemś strasznem, a nieznanem. Po odebraniu raportu od zastępowych, kazała nam Jadźka wystąpić, spytała, za co jesteśmy posłane do raportu, a potem przypomniała mnie i Wandzi, że przecież dałyśmy słowo skautowe, zachowywać się porządnie podczas prze-



Harcerze krakowscy. Uroczyste spuszczenie na wodę czółna.

kradania, mówiąc, że ma jeszcze tę kartkę. Ja nic już nie mówiłam, bardzo skruszona, w głębi duszy obiecując poprawę. Wanda zaś jeszcze i wtedy znalazła wymówkę, mówiąc, że obiecała zachowywać się porządnie, ale w przebraniu. Jadźka jednak powiedziała, że to nie zmienia rzeczy, z czem zgodziłyśmy się w zupełności. Dostałyśmy następnie napomnienie, żebyśmy się poprawiły, no i całe to zmartwienie zakończyło się dość szczęśliwie. Dotąd jednak nie możemy się pogodzić z myślą, że już raz stawałyśmy do raportu. Staramy się też z całych sił, żeby coś podobnego nigdy się już nie powtórzyło, co daj Boże!

Jeszcze jedna Jadzia.

□□□□□□□□

OPISY TERENÓW

Patrzcie i spostrzegajcie! Idźcie przez świat z otwartymi oczami! Ćwiczcie w sobie spostrzegawczość i orjentację polną czyli ów zmysł polny.

Ileż to wynalazków zrobiono jedynie dzięki przenikliwej spostrzegawczości i umiejętnemu wyciąganiu wniosków. Świat wydaje się niejako obszerniejszym, bardziej „zaludnionym", a nawet piękniejszym dla tych, co umieją nań patrzeć i spostrzegać.

James Watt wynalazł maszynę parową obserwując przykrywkę naczynia z gotującą się wodą; odkrycie prawa powszechnego ciążenia zawdzięczamy obserwacji Newtona nad spadającemi z drzewa jabłkami.

Przy wszelkich ćwiczeniach spostrzegawczości, orjentacji—podstawą wszystkiego jest teren, stąd widzimy jak nierozdzielnie ta gałąź wiedzy harcerskiej łączy się z terenoznawstwem.

Prawie każde zadanie w terenoznawstwie (przedewszystkiem praktycznem i stosowanem) polega na szybkim spostrzeżeniu i wnioskowaniu. Orjentacja polna stanowi przecież odrębny dział terenoznawstwa. Terenem wogóle nazywamy powierzchnię ziemi wraz ze znajdującemi się na niej przedmiotami. Terenem więc jest niejako cała ziemia! Jakież więc bogactwo i jaki ogrom dla badań, jak wielce obszerny zakres samej nauki o terenie czyli właściwie o ziemi.

Nie wyobrażam sobie nauki terenoznawstwa, a tymbardziej nauki orjentacji bez mapy, bez „prawdziwej" topograficznej mapy. Gdy chcecie się wziąć do jednego czy drugiego połóżcie przed sobą mapę i tę przestudjujcie. Dalsze ćwiczenia po ogólnym poznaniu mapy odbywają się w polu — w terenie — i również z mapą.

Opisywanie terenu z jednoczesnym sporządzaniem z niego szkicu lub nawet bez niego najlepiej nas wprowadzi w samo terenoznawstwo, które przecież właściwie jest nauką o terenie i jego poznaniu. Obierzmy sobie jakiś punkt w terenie, z którego będziemy go obserwowali, czyli cały opis terenu będzie robiony z tego punktu; oznaczmy ten punkt na mapie. Teraz z mapą w ręku obserwując teren róbmy ich porównanie. Naturalnie najpierw należy mapę zorjentować.

Tego rodzaju ćwiczeń jest cały szereg; można je w różny sposób modyfikować. Ograniczę się tutaj na podaniu kilku uwag, nieraz może daleko odbiegających od właściwego tematu, lecz tymbardziej pożądanych, a często koniecznych.

Ćwiczenia tego rodzaju są nietylko potrzebne jako ćwiczenia terenoznawcze, ale korzystnie wpływają na wzrok, szczególniej dla tych mieszkańców miast, którzy zmuszeni są pracować lub uczyć się nieraz przy złym lub nadmiernym oświetleniu, a zwykle wśród czterech ścian pokoju. Odczuwamy chyba, jak doskonale robi dla naszego wzroku, gdy może on spocząć dalej na zieleni pól i łąk.

Skoro się ogląda i opisuje dany teren (np. stacja obserwacyjna — patrz „Skauci w polu" str. 38) należy wybadać, co jest głównym celem naszej obserwacji; przyczym również ważne jest zaobserwowanie okoliczności momentu i miejsc, w którym

się dany „cel" ukazał, jak i tego, kiedy, gdzie i w jaki sposób zniknął nam z oczu.

Opis terenu rozpoczynam od prawej strony, ku lewej, więc przeciwnie, niż obraca się śróba. Gdy mamy opisać kilka jednakowych przedmiotów terenu np. 5 drzew i chcemy jedno z nich w opisie wyszczególnić (np. jako miejsce dla wedety) to mówimy lub piszemy: „patrząc z mojego stanowiska — musi być bliżej określone — drugie drzewo od lewego" (Rys. 1, drzewo oznaczone krzyżykiem). Nie wolno zaś objaśnić tego np. w ten sposób: „drugie drzewo na lewo", bo możnaby sobie to wytłomaczyć zależnie od punktu z którego będziemy obserwowali (a więc mogłoby to być wówczas drzewo oznaczone przez „—").

Instrukcje wojskowe mówią to samo o opisach pozycji czy oddziałów nieprzyjacielskich; przy wyszczególnieniu należy wtedy mówić: z mojego punktu — ostatnia armata na prawo, nigdy zaś: „ostatnia na lewym skrzydle baterji" lub „lewe skrzydło i t. d." Opisujemy wtedy zawsze z punktu widzenia naszego i dodajemy to dla pewności w samym opisie.

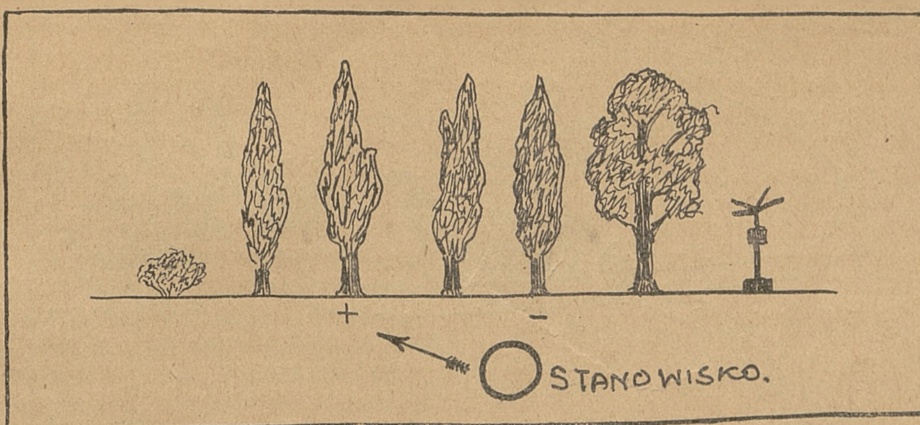
I nietylko przy opisach terenu, ale przy ustnym raporcie należy mieć ustalone pewne normy. Jakżeż często słyszy się nawet wśród wyćwiczonych harcerzy taki lub temu podobny djalog:

„Czy widzisz tego tam człowieka?"
„Którego?"
„Tego, na prawo niżej horyzontu koło drzewa?"
„Koło którego drzewa?"
„No, na lewo od tego białego domu?"
„No dobrze, ale czy to ten pierwszy biały dom z czerwonym dachem? i t. d.

Stosuje się tu system skróconego, a dokładnego wskazania przedmiotu przy pomocy palcy. System ten szczególnie stosowany w terenie falistym— polega na tym, że, obrawszy sobie jeden lub kilka wydatnych przedmiotów terenu takich jak wieża kościoła, wyniosłe drzewo, stóg siana i t. d., liczymy na ile palcy przy wyciągniętej przed siebie ręce (palce podniesione prostopadle) oddalony jest od niego dany przedmiot. Więc powiemy wprost: „trzy palce na prawo od kościoła". Możemy wtedy cały teren podzielić na kilka odcinków i na każdym z nich wybrać jeden taki punkt, od którego się będzie liczyć; najlepiej jednocześnie wskazać ów przedmiot ręką.

Czasem dla lepszej orjentacji należy uprzednio poinformować odbierającego raport co do stron świata, które się odnajduje którymś ze znanych sposobów. Należy to czynić jednak dość szybko i kierunki określić w przybliżeniu (np. kościół na południu — i wskazać zaraz palcem). Wogóle przy opisie terenu nie trzeba się wdawać w zbytnie szczegóły, ograniczając się do rzeczy ważniejszych. Trzeba więc umieć rozróżniać szczegóły konieczne i ważne od mniej ważnych lub zgoła niepotrzebnych.

Dla przykładu podaję niżej wyjątek z opisu terenu (patrz Rys. 2). Najpierw określono w nim stanowisko, potym zrobiono opis, począwszy od prawej ku lewej ręce (kierunek strzałki).



Rys. 1.

„Znajduję się na wzgórzu 235, na północ — prawie na połowie odległości między Strachówkiem a Korytnicą.

W kierunku wschodnim (na prawo wskazać ręką) na tejże drodze leży wieś Strachówek, posiadająca dwa domy, z których jeden murowany bielony (z daleka widoczny!) zwrócony szczytem ku mnie, kryty czerwoną dachówką, drugi dom kryty słomą, na obu zdala widoczne kominy; koło domów ogródki zapewne warzywne ograniczone niezbyt gęstym żywopłotem, są też drzewka owocowe i dwie wysokie topole nieco wyniesione (punkt obserwacyjny!) koło drogi i t. d."

Kolejno następują opisy przedłużenia drogi za wsią Strachówkiem, pól między drogą a strumieniem, strumienia i stawu, drogi z mostem na nasypie i t. d.

O ileby chodziło o wywiadowczy opis terenu należałoby powyższy opis nieco skrócić

i uprościć, pomijając szczegóły mniej potrzebne (np. rodzaj ogrodów, podłoża, wyszczególnianie drzew owocowych i t. p.), natomiast podkreślając inne (np. głębokość, szerokość rzeki, szybkość prądu, rodzaj brzegów, punkty obserwacyjne we wsi, obronność zabudowań i ogrodzeń i t. p.).

Np. Opis rzeki Ossówki pod wsią Strachówkiem.

Opis terenoznawczy: Rzeka Ossówka biorąca początek w miejscowościach O... o charakterze rzek równinnych przepływa w odległości $^1/_4$ km. od wsi Strachówka (ok. 220 m. wysok. bezwzgl.).

Szerokość jej tu wynosi średnio 5 m., głębokość 125 cm., szybkość prądu 55 cm. na sekundę. Posiada przeważnie dno błotniste, i gliniaste, czasem żwirowate, brzegi średnio wysokie, lewy nieco urwisty, pobrzeża pagórkowate: pola orne (czarnoziem) czasami pastwiska, na prawym pobrzeżu odległe o $^1/_4$ km. bajoro... i t. d.

Opis wywiadowczy: Patrol wywiadowczy №... wysłany dla zbadania rzeki Ossówki pod wsią Strachówkiem jako przeszkody w marszu wojsk.

Szerokość rzeki przeciętnie 5 m.

Głębokość „ „ 125 cm.

Miejsce najgłębsze na północ od Strachówka (A).

Szybkość prądu ok. 55 cm. na sek.

Dno błotniste i gliniaste; i żwir rzadko otoczaki.

Brzegi często urwiste (lewy), choć niewysokie (do 3 m.)

Pobrzeża pagórkowate: pola orne, czasem pastwiska.

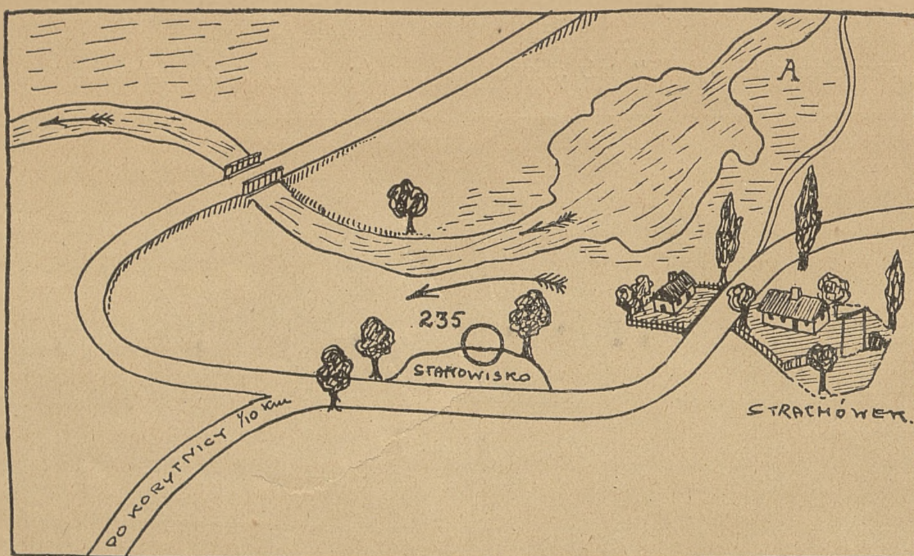
Przejście rzeki. Na zachód ok. ½ km. od Strachówka most żelazno-betonowy szosowy— zupełnie odsłonięty.

Doniesiono: Gospodarz Z... w Strachówku zapewniał, że istnieje drugi most, drewniany 2 km. na północ na drodze ze Strachówka do Sulejowa, w Sulejowie podobno dzisiaj w nocy były 2 patrole wywiad. nieprzyjacielskie. Brody niepewne.

Pogląd ogólny. Rzeka Ossówka nie stanowi przeszkody dla marszu, brzeg prawy zagrożony przez nieprzyjaciela (patrole), przez co łatwo stać się może jego linją operacyjną.

Wojtek zastępowy.

Rys. 2.



Jako ćwiczenia bardzo dobre są opisy terenu nieznanego lub znanego na podstawie mapy. Jednak można je przeprowadzać dopiero po gruntowniejszym poznaniu mapy. Obieramy jakiś odcinek terenu na mapie i staramy się go w ciągu pewnego czasu opisać. Można dojść do takiej wprawy, że każdy teren, skoro tylko spojrzymy na mapę, wyobrazimy sobie tak, jakby leżał przed nami. Przy opisach tych zauważymy najpierw wielką niedokładność; wszystko będzie powiedziane ogólnie (np. teren błotnisty, droga z A do B i t. d.) później natomiast po szeregu ćwiczeń rozbudzi się w nas pewien instynkt i rzeczy przedtym niezrozumiałe staną się jasnymi i oczywistymi; można wtedy nawet odczytać taki szczegół jak wygląd drogi, rodzaj i gęstość lasu i. t. p. (naturalnie jeżeli mapy będą prawidłowe). Wówczas można zacząć robić szkice perspektywiczne na podstawie mapy, obrawszy sobie jakiś punkt jako swe stanowisko. W szkicu takim nie chodzi przeważnie o dokładność, lecz o prawidłowe wyobrażenie danego terenu i jego ukształtowania i wzajemnego położenia przedmiotów. Również bardzo ciekawe rezultaty dają ćwiczenia we wnioskowaniu z mapy o rodzaju roślinności. Jest to jakby wtórne wnioskowanie. Musimy najpierw na podstawie mapy przekonać się o rodzaju terenu; a na tej pod-

stawie wnioskować dalej. Rolę tutaj odgrywają czynniki poboczne, które należy wziąć wtedy pod uwagę: pora roku, warunki klimatyczne, zaburzenia atmosferyczne i t. d.

Na takich zasadach polega właściwa nauka terenoznawstwa. Trzeba się nauczyć mieć poczucie terenu, przewidywać z góry jego kształt i jakość na podstawie danych bezpośrednich z przyrody czy na podstawie mapy.

Niezawodnie jest to najlepsze przygotowanie do terenoznawstwa stosowanego.

Te wiadomości należy następnie nawiązać do gieografji Polski, którą wtedy z łatwością zrozumiemy i nauczymy się.

Może jeszcze o tym pomówimy; pragnę jednak byście już od dziś zaczęli ćwiczenia w tym kierunku. Niejednym zaś z doświadczeń niezawodnie podzielą się z nami nasi instruktorzy na łamach ,,Harcmistrza".

Stanisław Rudnicki.

Z historji sygnalizacji.

TELEGRAF OPTYCZNY CHOPPE'A.[1])

Klaudjusz Choppe urodzony w roku 1763 poświęciwszy się stanowi kapłańskiemu, musiał z konieczności spędzić lata młodzieńcze w seminarjum, zdala od braci umieszczonych w pensjonacie odległym o pół mili francuskiej od niego. Kochając bardzo swych braci, Klaudjusz ,,dla rozerwania się wśród nudów rozłączenia" — jak powiada Gustaw Tissaudier — wymyślił sposób, przynoszący zaszczyt jego pomysłowości, mocą którego mógł, nie zważając na oddalenie dwu zakładów wychowawczych, porozumiewać się do woli z braćmi. Postanowił mianowicie porozumiewać się z nimi za pomocą sygnałów dawanych przez rozmaite położenie trzech deszczułek: jednej dłuższej, i dwu krótkich swobodnie przytwierdzonych na końcach dłuższej. Cały ten przyrząd umieścił się na tyce, dla lepszej, wyrazistości. Stosownie do umowy powstał cały szereg znaków mających dla niego i braci specjalne znaczenie, wyrażających pewne myśli, słowa, wyrazy.

Wynalazek był zrobiony, lecz pozostał ukryty, a więc tak jakby go nie było, — świat nie mógł zeń korzystać.

W roku 1789 rozgorzała Wielka Rewolucja Francuska. Choppe oceniwszy wartość swego wynalazku—postanowił oddać go na usługi Ojczyzny. Po wielu trudach w 1792 r. udaje się do Paryża, gdzie prosi o pozwolenie na odbycie przedwstępnych prób na szerszą skalę. Po wielu trudach uzyskuje nakoniec to pozwolenie. Buduje stacje. Źli ludzie nie ceniący pracy i starań Choppe, palą mu stację. Choppe, aczkolwiek już zniechęcony, podejmuje jeszcze raz próbę, uzyskawszy poparcie brata starszego, członka Zgromadzenia Prawodawczej. I tym razem motłoch puszcza z dymem jego stację. Choppe, podejmuje próbę po raz trzeci i nakoniec ,,po wielu zawodach i niepowodzeniach, zyskuje w dniu 14 kwietnia 1793 r., uznanie ze strony Zgromadzenia i przyjęcie telegrafu przez Rząd".

Choppe wspólnie z braćmi zajmował się swym telegrafem nie tylko pod względem politycznym, ale i pod względem teoretycznym. Rezultat jego prac znajdujemy w książce wydanej po jego śmierci przez brata Ignacego Urbana Jana Choppe'a, w roku 1824[1]). Niektóre wnioski jak sądze, zaciekawią Was Druhowie, pozwolą Wam bowiem zastosować niektóre z nich do naszego życia harcerskiego. Oto ważniejsze z nich:

1. Powierzchnia tej samej wielkości daje się spostrzec na dalszą odległość, gdy jest podługowata, niż gdy jest okrągła lub kwadratowa.
2. Barwy ciał oświetlonych nikną w pewnych warunkach oświetlenia, przeto do telegrafowania (optycznego) nadaje się kształt nie zaś barwa sygnału (syg. semof.).
3. Za tło sygnału winno służyć sklepienie niebieskie.
4. Występy, nawet nieznacznej wielkości, na wązkich ciałach prostolinijnych dają się dostrzec dopóty, dopóki samo ciało jest widzialne.
5. Ognie barwy jednakowej zlewają się w jeden obraz, gdy odległość między niemi nie przekracza $^1/_{1000}$ odległości od widza.
6. Ogień biały w pewnych warunkach atmosferycznych przyjmuje zabarwienie, czerwone, pomarańczowe lub zielone.
7. Ruch ognia w nocy nie daje się dostrzec, o ile w blizkości nie ma drugiego ognia nieruchomego.

Stosownie też do swych spostrzeżeń, Choppe umieszczał swoje stacje na wyniosłościach panujących nad okolicą. Stacja jego składa się w wieży będącej zarazem mieszkaniem dla ,,telegrafisty" obsługującego aparat, składający się z wysokiego masztu do wierzchołku, którego przymocowano długą ruchomą deszczółkę i opatrzoną na końcach krótszemi, również ruchomemi. Dłuższa deseczka została nazwana ,,regulatorem", krótsze ,,wskaźnikami".

Przez rozmaite położenia tych trzech elementów powstawała niezliczona ilość znaków. Aby za-

[1]) Korzystałem z prac: Gustaw Tissaudier ,,Męczennicy w imię nauki" str. 230 i nast. Encyklopedja Orgielbranda—Klaudjusz Choppe. Hamacker. ,,Telegraphie und Telephonie str. 4, 5, 6, Aleksander Wasiutyński—drogi żelazne str. 407 i nast.

[1]) ,,Histoire de la telegraphie".

pobiec możliwym błędom, wynikających z używania tak wielkiej liczby znaków, Choppe ograniczył się na 92 znakach ,,łatwo wpadających w oczy figur''. Dla porozumiewania się używano specjalnego ,,klucza'', książki zawierającej 92 stron, którym odpowiadały umówione znaki, specjalne dla każdej. Na każdej stronie było 92 zdań lub słów, oznaczonych liczbą porządkową.

Pierwszy sygnał przesyłany oznaczał stronę, drugi l. p. słowa, zdania, wyrażenia. Znakami tymi można było przesłać (92×92=) 8464 wiadomych słów, zdań etc.

Skrzydła telegrafu poruszały się za pomocą bloków liny, których sprowadzono do izdebki leżącej bezpośrednio pod aparatem sygnałowym. Izdebka taka miała dwa okna zasadniczo, jedno w kierunku stacji wysyłającej, drugie w kierunku stacji odbierającej. Technika była prosta, depesze, a raczej znak wysłany ze stacji nadawczej, poruszony za pomocą dźwigni, nadającej położenie skrzydłom, a urządzonych w ten sposób, że te dźwignie przybierały te same położenia, co i skrzydła ,,regulatora'' i ,,wskaźników''.

Obserwator stacji następnej (2) nie troszcząc się o zrozumienie danego znaku naciskał dźwignie, przesyłając go następnej; następnie spostrzegłszy, że następna stacja (3-cia) znak dany przejęła, przyjmował następny znak stacji pierwszej nadawczej. Ruchy dźwigni były tak szybkie i pewne, że depesze z Bordeaux do Paryża (ok. 500 km.) podawano w ciągu 20 minut.

Pierwsza depesza Choppa donosząca o zwycięstwie armji francuskiej wprawiła w zachwyt członków Zgromadzenia, odpowiedź przesłana do armji — w zdumienie wrogów.

Stacje były oddalone o 8 do 11 km. jedna od drugiej. Telegraf Choppe'a szybko przyjął się w całej Francji już 1812 r. Paryż był połączony z Lombardją, Belgją, Hollandją, Szwajcarją, Alzacją.

Anglja zaprowadziła telegraf Chappe'a w 1796, Szwecja w 1794, Danja i Rosja w 1802. Prusy wprowadziły telegraf na linji Magdeburg, Berlin Koblencja w 1832 r. i był nieco odmienny. Składał się z masztu, do którego przymocowano trzy pary poprzecznych skrzydeł, każde z 6 skrzydeł przybierać mogło 4 położenia, różniące się o kąt 0^0, 45^0, 90^0 lub 135^0 z położeniem masztu. Liczba możliwych znaków była (4^6=) 4096.

Należy jeszcze zaznaczyć, że telegraf optyczny we wszystkich państwach służył tylko dla celów wojskowych i państwowych, dla celów komunikacji prywatnej, państwo nie dozwalało użytkowania telegrafu.

Działalność telegrafu optycznego musiała być zawieszana przy niesprzyjających warunkach atmosferycznych, a już zupełnie w nocy. Również silny wicher powodował przerwę w komunikacji.

Służba na stacji była bardzo uciążliwa. Obserwator musiał cały dzień stać na czatach, obserwując przez lunetę stacje sąsiednie, nadwyrężając oczy nużąc oczekiwaniem umysł.

Dopiero wynalazek telegrafu elektrycznego ulżył ciężkiej służbie na stacjach telegraficznych, uprzystępnił przesyłanie wiadomości każdemu, pozwolił na zbliżenie i wymianę myśli ludziom odległym o setki wiorst od siebie.

Do tego telegrafu elektrycznego, zwrócimy jeszcze w swoim czasie.

Marjan Kilo.

Co harcerz wiedzieć powinien?

RPZED WYCIECZKĄ

Harcerz nie jest ofiara, jak mi powiedział jeden zastępowy, chociaż jest ofiarny. To też, kiedy idzie na wycieczkę, odpowiednio się przygotuje, bo wie, że zawsze lepiej jest mieć wszystko potrzebne na wycieczce, niż później stękać co krok z powodu niewygodnych butów lub ciężkiego plecaka. Należy na wycieczki brać tylko rzeczy konieczne do wygodnego odbycia jej. Nie znaczy to bynajmniej, aby brać ze sobą kołdry, poduszki i składane krzesełka, ale znów nie można iść na wycięczkę z ,,wolą Bożą''.

Na siebie bierzemy najstarsze i najgorsze w majątku ubranie. Podeszwy butów, aby nie przemiękały, smarujemy mieszaniną (pół na pół) terpentyny z olejem lnianym (skaut wszystkiego dostanie), z wierzchu zaś, a szczególniej szwy, jakimś płynnym tłuszczem w rodzaju oleju lnianego lub rycynowego. Aby się nogi nie odparzały dobrze jest posmarować je stałym tłuszczem (np. Łój salicylowy), jak również dobrze jest wyłoić wewnątrz skarpetki (wywróciwszy je na drugą stronę).

Ubranie musi być zastosowane do temperatury. Od zimna zabezpiecza wystarczająco kilka warstw ubrania bez względu na grubość. A więc zamiast palta można na siebie wziąć dwie koszule.

Przy mrozie—1^0 do—5^0 wystarczy 4—5 koszul, sweater (gruba koszula lub kamizelka) i kurtka; przy 1^0 do † 4^0 3—4 koszul, sweater i kurtka; od † 4^0 do † 10^0 2—3 koszul i t. d.; od † 10^0 do † 15^0—jedna koszula, a dalej najprzód sweater, a później i kurtka idą do plecaka.

Na nogach przy mrozie dobrze jest mieć pod pończochami grube skarpetki lub owinąć stopę papierem. Rękawiczki najlepsze włóczkowe.

Podczas jednodniowei wycieczki w plecaku trzeba mieć: 1 koszulę, 1 parę kalesonów, 1 parę pończoch, kilka chustek do nosa (2 — 5, zależnie od mrozu); 3 woreczki na racje, a w nim jedzenie, menażkę, kubek, łyżkę, nóż; papier do zawijania i na

podpałkę, igły, nici. Przy sobie: papier czysty i ołówek, matrykułę ewentualnie paszport, kompas, nóż, zapałki, sznurek.

Na dłuższą kilkodniową wycieczkę należy wziąć do plecaka: 2—3 koszule, 2 pary kalesonów, 2 pary pończoch, w woreczkach przepisaną żywność, przybór do mycia się i czesania, zapasowe sznurowadła; pożądane są pantofle, które kładzie się na noc, latarka. Naczynia i drobiazgi te same.

Do plecaka przytraca się pled.

Plecak trzeba zapakować i poczynić te wszystkie przygotowania poprzedniego dnia wieczorem, gdyż wykonywane rano są przeważnie czynione niedbale i prawie zawsze są przyczyną spónienia się na z biórkę. *J. M.*

ZNAKI UŻYWANE NA WIŚLE DLA STATKÓW.

Jadąc z prądem, przejeżdża się po prawej stronie czerwonej tyki lub kora, po lewej — białej tyki lub kosza; jadąc w górę rzeki naodwrót. Tyki są znakami dziennemi, kosze, w których znajduje się zapalana wieczorem latarka odpowiedniego koloru, służą jako znaki nocne.

Na mostach w dzień tarcza, w nocy latarnia jest umieszczona na tym przęśle, pod którym przepływa główny prąd. *J. M.*

Dział biszkoptowy.

PIERWSZA WYCIECZKA.

Dzień 15 sierpnia 1916 roku winien być złotemi zgłoskami zapisany w historji harcerstwa. Dnia tego bowiem patrol ,,Koni'' wyruszył na pierwszą wycieczkę.

Właśnie na zegarze kościoła św. Florjana na Pradze, wybiła 6-ta, gdy Felek wydobył z pod stosu poduszek i kołder swoją okrągłą głowę i począł wkładać na siebie nowe harcerskie ubranie. Ale, gdy sięgnął pod łóżko, po buty, doznał uczucia, jakiego doznaje podróżny, widząc uciekający przed nosem pociąg: butów nie było. Ręce Felka próżno macały pustą przestrzeń.

Długo medytował i rozpaczał nad swem nieszczęściem, aż w końcu przyszedł do wniosku, że buty musiała wziąć służąca do oczyszczenia. Nie czekając dłużej, wyszedł na kurytarz i zaczął pukać do kuchni. Pukał natarczywie, coraz to mocniej, lecz widać że służąca miała sen bardzo mocny, bo nikt nie otwierał; wreszcie zdecydował się wejść przez okno, wychodzące na ogród i nie budząc służącej, wziąć samemu buty.

Bez trudu dostał się do ogrodu. Cisza tam panowała i spokój, tylko czasami od ulicy dolatywał turkot wozu i szczekanie psów.

Felek z największą zręcznością, na jaką tylko pozwalała mu jego tusza, wdrapał się na parapet otwartego okna i począł swemi wielkimi oczami szukać dogodnego miejsca, na które mógłby zeskoczyć. Zadanie to było niezbyt łatwe, bo całą ścianę przed oknem zajmował stół, pokryty masą talerzy, niezmytych jeszcze po wczorajszej kolacji. Lecz Felek nie zraził się bynajmniej tą przeszkodą i rozkraczując nogi na całą szerokość, skoczył, niestety! na sam środek stołu, który nie mógł utrzymać ciężaru dzielnego skoczka i runął na podłogę z całą swoją zawartością i oczywiście — z Felkiem.

Najbieglejsze pióro nie opisałoby zamieszania, jakie ta awantura wywołała. Zerwał się na nogi cały dom. Lokatorzy biegali, jak opętani, wołając naprzemian: ,,Pożar!'' i ,,Złodzieje!'' i tym podobne, pełne nadzwyczajnej odwagi okrzyki.

Skończyło się wreszcie obiciem kota, którego posądzono o ten, tak wielce zbrodniczy czyn. Dzielny harcerz ocalenie swoje zawdzięczał jedynie swym krzepkim nogom.

Wydostawszy się na ulicę, począł bez butów biec pod ścianami domów, śpiesząc się bardzo. Wkrótce dopadł dodomu, w którym mieszkał Józio Gapski I wbiegłszy szybko po schodach, zapukał do apartamentu swego zwierzchnika.

— Proszę — usłyszał głos z wewnątrz. Przestąpił próg i stanął ,,na baczność''.

— Czemu się spóźniasz?—spytał Józio i raptem spojrzawszy na nogi Felka, zawołał:

— A gdzieżeś podział buty!?! —

— W pośpiechu zapomniałem je włożyć — odparł zapytany (do zwycięskiej ofensywy w kuchni nie chciał się przyznać przez skromność harcerską).

— Będziesz musiał wziąć moje zapasowe buciki.

Felek milczeniem przyznał Józiowi rację. Po chwili można było widzieć bohaterów naszej powieści, jak silili się wspólnemi siłami wepchnąć nogę jednego z nich w żółte trzewiki drugiego.

— Chyba nie wejdzie — zauważył jeden z nich.

— Musi wejść rzekł drugi z właściwą harcerzom mocą.

— Tak, ale... — ośmielił się ponownie zauważyć Felek, lecz nie dokończył, bo właśnie jego zastępowy przypuścił generalną ofensywę do trzewików i podparł nogą swego podwładnego z taką mocą, że but odrazu wszedł.

— O jej! To stanowczo niemożebne.

— Co znowu!?

— But jest taki ciasny, że okropność. Będzie mi bardzo ciężko iść, druhu zastępowy! — zauważył znów Felek.

— To trudno!...

— Ale...

— Dość już! — ryknął energicznie Józio, którego charakter nie znosił opozycji.

Na takie ,,dictum'', Felek umilkł i, włożywszy plecak, kulejąc nieco, wyszedł ze swym mistrzem na ulicę.

Szli jakiś czas w milczeniu, mijając nielicznych przechodniów. Wkrótce oczom ich ukazała się rogat ka i stojący przy niej stróż bezpieczeństwa.

Już było po 12-tej, gdy przyszli bez żadnych przygód do Wawra. Tutaj Józio postanowił ,,rozbić obóz''. Jakoż wkrótce Felek ,,rozbił'' sobie nos o drzewo i Gapski postanowił nałożyć mu opatrunek. Gdy nos Felka był należycie oblepiony plastrem, nasi przyjaciele udali się do wsi, celem porobienia zakupów.

Wśród owacji, jakie im urządziły dzieci wieśniaków, doszli do okazalszego nieco budynku.

— To widocznie karczma — mruknął Gapski, który odznaczał się, jak każdy zresztą harcerz wybitną spostrzegawczością.

Przez uchylone drzwi słychać było skrzypce i basettlę. Była niedziela. Starzy chłopi siedzieli przy stołach, pykając z fajeczek i raz po raz maczając usta w kieliszkach. Młodzież zaś ochotnie wybijała obertasa, aż coś jęczało w wiązaniach domu. Lecz za wejściem harcerzy odrazu wszystko ucichło. Cała gromada spoglądała—ze zdziwieniem i podejrzliwie na ,,zielonych ludziów''.

— Czy nie można dostać czego do jedzenia?— spytał jeden z tych ostatnich.

— Ny... dlaczego nie? — mruknął arendarz — u mnie wszystko jest: jajki mogom bicz, obwarzanki pywo...

— A herbaty można dostać?

Żyd skinął głową.

— To dawajcie jajecznicy i herbaty — zadysponował Józio, siadając za stołem.

Siedzieli jakiś czas w milczeniu naprzeciw siebie. Józio ziewając, Felek sykając co chwila i łapiąc się za nos. W końcu jeden z wieśniaków, widocznie sołtys, zbliżył się i spytał:

— To panowie werbowniki som?

— Co?! nic podobnego, myśmy tylko tak na wycieczkę...

— Aa... To widać pany som ,,skocymiedze''?

— Co? co za ,,skoczymiedze''?

— No, omentry, czy tam jak...

— Broń Boże, myśmy nie żadni gieometrzy, tylko harcerze!

— Jak, jak?... dyć one tyz takie kije miały—wykrzyknął któryś z gromady.

Gapski spojrzał na otaczających i, czując, na co się zanosi, zrozumiał, że najlepiej będzie wycofać się stąd czemprędzej, powstał więc z zamiarem wyjścia, lecz tłum nie chciał się wcale rozstąpić.

— Puszczajcież ludzie!... — począł wołać.

— Aha! Juści! Omentrzy chcom uciekać! Nie puszczajta ich! — odezwały się pojedyńcze głosy.

— Józio! — krzyknął Felek — oni nie ustąpią, chyba...

Nie skończył, bo w tej chwili jakaś pięść spadła mu na kark...

Niewiadomo do czegoby doszło, gdyby nie zjawił się w samą porę właściciel poblizkiego dworu i gdyby nie wyratował naszych biednych przyjaciół.

Wieczorem, gdy Józio z Felkiem leżeli w wygodnych łóżkach w zacisznym dworku, dokąd zabrał ich poczciwy pan Kalicki, ten sam, który wyratowa ich z rozpaczliwego położenia w karczmie, pierwszy z nich rzekł:

— Jutro ruszamy dalej!

— Po co?—spytał Felek.

Gapski, aż usiadł na łóżku:

— Coś ty powiedział?

K. Pężko.

NA KOLONJĘ.

Pierwszy to raz wysyłano z naszej drużyny chłopców na kolonję i los szczęśliwy na mnie, między innymi, padł. Oj! byłoż to zmartwienia przed wyjazdem. ,,Koloniści'' omal, że nie bohaterskie miny mają, ale zdaje się, że to tylko nadrabianie. Gdzie tylko się zwrócić, można słyszeć: ,,Proszę druha co wziąć z sobą?'' ,,Czy my pieszo pójdziem?'' ,,A gdzie my będziemy spali?'' i t. d. Odrazu wiadomo, że to ,,biszkopty''. Najgorsza to sprawa z takimi, a jeszcze do tego wtedy, gdy sam niezbyt pewnym jesteś.

Najwięcej przerażała nas podróż piesza, bo plecaki wypchane, a tu dobre 10 mil drogi. Niemało też było radości, gdy powiedziano, iż jedziemy koleją. Zaraz i weselej i krzyku więcej.

Sam odjazd odbywał się bardzo uroczyście. Po Mszy Świętej i przemowie członka patronatu ruszyliśmy na dworzec, a za nami drużyna ze sztandarem. I ,,cywilusów nie brak, pomimo wczesnej pory. Bo to i mamusie chcą odprowadzić i niejeden nieharcerz, zazdroszcząc trochę, przyszedł popatrzeć. Wszystkich oczy, naturalnie, zwrócone na odjeżdżających, a ci dumni z wyróżnienia jakie się spotyka, maszerują z wielką powagą. Znikła jednak w mig powaga, gdy poczęto się żegnać, wraz ze zbliżaniem się pociągu. ,,Wracajcie rychło'', ,,wesołej zabawy''. ,,Pisz często''. ,,Dowidzenia'', ,,Czuwaj!'', zewsząd się rozlega.

Odetchnąłem, gdym swych ,,bąków', usadowił i mniemałem, że wypocznę trochę. Gdzież tam?! Czy wieś zobaczą, czy zagajnik jaki, pytaniom niema końca. I w głowie im się niechce pomieścić, by plutonowy mógł niewiedzieć skąd ten strumyk płynie, lub jak się ta wieś nazywa. Pomimo zmęczenia okien nie opuszczają. Cieszy nas widok łanów zbożowych, błyszczących w słońcu złotym blaskiem, łąk rozległych poprzecinanych krętymi strumykami, malowniczych wzgórz. Wszystko to takie piękne, takie ,,nasze'', że aż się oczy śmieją do tych widoków. Szybko też mijał czas podróży na wesołej gawędce,

i aniśmy się obejrzeli jak stanęliśmy na stacji krańcowej. Jeszcze kilka wiorst drogi pieszej i jesteśmy na miejcu, w ,,domu''.

Raźno chłopcy zabrali się do pracy i wkrótce izby wyczyszczone, posłania gotowe, jednym słowem zagospodarowani jesteśmy zupełnie.

Wszyscy weszli, a z rozpromienionych lic czytać można, iż obowiązek swój harcerski spełniać będą godnie, i w tym zakątku, zdala od miast, zostawią dobrą sławę drużyny i harcerstwa. Aż się serce raduje gdy spojrzeć na tych biszkoptów, którzy pomimo, iż są tylko biszkoptami, wiedzą, iż przykładem dla wsi służyć muszą, że niepotrzeba rozkazu by się do pracy, czy to nad uporządkowaniem izby swej, czy też podwórza folwarcznego, nigdy nie czyszczonego, wziąć. Gromady dworaków obstąpiły ich i z podziwem patrzą, a chłopcy tym więcej się zwijają. Jeden drugiego zachęca, a wszyscy przejęci zasadą: ,,Dla próżniaków niema miejsca w obozie''.

A choć się czasem coś nie powiedzie, to się i poprawi, a już dziś czuć, że wróciwszy z kolonji rozpowiadać będą, jak to przyjemnie i wesoło na kolonji, jak to się czasu nietraci, jak wiele się nauczyli.

Z podziwem słuchać będą... biszkopty.

A. Rawicz, Żyrardów.

KĄCIK HUMORU.

DOBRE RADY.

Ponieważ ja wiem, i ty wiesz, i on wie i my wszyscy wiemy, że nic tak, dobrze nie uczy, jak własna praktyka życiowa, pragnę podać przeto kilka wskazówek tyczących się życia i gospodarstwa na kolonjach, które mi właśnie moja praktyka nasunęła. A więc:

Wyjeżdżając na kolonje, o ile opiekunka specjalnie nie zaznaczy, iż ma zamiar robić sery i potrzebne jej będą cieżkie przedmioty do przyciskania, nie należy brać książek szkolnych, pudełek z farbami lub mikroskopem, ani nic podobnego.

Gdy już będziecie na miejscu, pamiętajcie nie wpinać szpilek w kapelusze, które się chowa na wycieczki do miasta, gdyż mógłby kto się ukłóć wchodząc boso do składu rzeczy.

Jakkolwiek na wszystkich kolonjach jest przyjęte chować bieliznę, pamiętnik, zegarek, cukierki i grzebień pod siennik, jak również zmiatać tamże śmiecie, schowanie to nie pod każdym względem jest praktyczne. Jajek na miękko i pierogów z jagodami lepiej tam nie kłaść.

Kto chce zyskać szacunek i sympatję na kolonjach nie powinien nigdy brać dokładek i choć raz zrzec się na benefis sąsiadów połowy swoich żytnich klusek lub przypalonej kaszy, o ile ta nie jest jego ulubionym przysmakiem.

Nóż i widelec należy powiesić nad posłaniem, aby nie zapomnieć jak wyglądają. Do jedzenia wystarcza łyżka, w wypadku zaś obiadu mięsnego oprócz łyżki potrzebny jest jakikolwiek patyk podniesiony z ziemi.

Raki i naleśniki jada się palcami.

W Warszawie, zwłaszcza na proszonym obiedzie lepiej tych sposobów nie stosować.

Jeżeli kto chce koniecznie, może i na kolonjach posługiwać się widelcem i nożem, przytym, jeśli mu to nie robi zbyt wielkiej różnicy może noża używać tylko do krajania, nie zaś do jedzenia, gdyż to bądź co bądź nie jest przyjęte.

Szarże nie potrzebują siedzieć ciągle w kuchni, gdyż kucharki potrafią i bez nich przypalić ksszę.

Kawałków cukru i kiełbasy nie należy zaprawiać trucizną na myszy, gdyż skautki wchodzące do śpiżarni mogłyby się pochorować.

Skautkom, które gospodarstwa nauczyły się na kolonjach, a chcą się tym pochwalić w domu, należy przypomnieć, że ciasto można wałkować niekoniecznie butelką, a krajać makaron niekoniecznie na ścierce rozłożonej na posłaniu lub na ziemi.

Jeżeli się jest na wycieczce na wsi i ofiarują wam nocleg, trzeba pamiętać, że to nie kolonje i nie szukać w posłaniu raka albo żaby, bo nie wypada.

Ponieważ regulamin kolonji mówi: każdy po obiedzie myje swoją menażkę, w której jadł, więc najlepiej jeść zawsze w cudzej menażce.

Skautka, która wraca z kolonji, zgubiwszy połowę rzeczy, powinna wchodząc do domu powiedzieć najpierw: ,,Mamusiu! zgubiłam kapelusz, bluzkę, dwa ręczniki, sześć chustek, pantofel i pięć książek, a później dopiero się przywitać. Powitanie przez to nie będzie o wiele chłodniejsze, a uniknie się bury.

W domu przy jedzeniu można nie stawiać talerza na kolanach, ani nie myć go po każdej potrawie, jak również nie chodzić po jedzenie do kuchni.

Przy fotografowaniu może okazałoby się praktycznem robienie mniej niż pięciu zdjęć na jednej kliszy.

Gwoździe można wbijać nietylko obcasem, ale i młotkiem.

TAJEMNICA SZTABU.

Istnieje na kolonji tak zwana książka obozu. Książka ta przeznaczona jest nietylko do wyznaczania dyżurów i zapisywania raportów, ale i do zachwycania gości, inspekcji i tym podobnych naiwnych ludzi. Otóż pewnego razu obożna zapisywała w owej książce dzieje kilku ubiegłych dni, co było przeznaczone dla gości, obecnych zresztą w pokoju. W chwili, gdy kaligrafowała: ,,Wstanie o godz. 6-ej r.'', pewien biszkopt zajrzał jej przez ramię:

— O jej! kiedy myśmy wstały o 6-ej?

(fakt autentyczny, wstęp nieco mniej)

MARYSIA I RAK.

— Marysiu, przypatrz się uważnie, jak trzeba czyścić raki: weź go dwoma palcami za grzbiet, tylko ostrożnie, żeby nie uszczypał.

— Kiedy to wcale nie boli; o spójrz, kładę palec między szczypce i zupiełnie..... aj, aj, aj, aj! zabierzcie go, zabierzcie!

(fakt zupełnie autentyczny)

□□□□□□□□

KRONIKA SPORTOWA

CO TO SĄ „SPORTY OLIMPIJSKIE“?

Od lat kilkunastu młodzież w państwach zachodnio i środkowo-europejskich znalazła dla swych zapałów i aspiracji ujście w postaci nieznanego u nas zainteresowania się sportami olimpijskiemi. U nas — niestety — mniej są one znane, a nie jeden z naszych opiekunów i profesorów krzywi się, słysząc słowo „sport" w ustach naszej młodzieży szkolnej. Wiecie dla czego to się dzieje? Bo w Polsce pod tym słowem dały sobie rendez-vous różne wcale niezaszczytne grupy i bardzo ciemnym „sportom" hołdujący jegomoście.

Przedewszystkiem codzienna prasa bardzo niebacznie zaliczyła do sportów „totalizatora". Może nawet nie wiecie, co to jest. Powiem wam krótko, że była to oparta na zakładach gra pieniężna na temat, który koń przyjdzie na wyścigach pierwszy do mety. Wielu się zgrywało zwłaszcza mniej zamożnych ludzi, nie jeden przegrywał nie swoje pieniądze, stąd roztwonienia majątków, przekupywanie jeźdźców, oszukaństwa, często samobójstwa. Wszystkie te cuchnące strumyki zamulające życie społeczne miały swe źródło w brudnym jeziorku zwanym totalizatorem, czyli „sportem" wyścigów konnych.

Była zresztą inna grupa karciarzy szulerów zakładająca kluby dla oszukańczego ogrywania w karty bogatych i niemądrych młodzieńców. I oni, nie mogąc nazwać swych klubów po imieniu, przylepiali do nich etykietkę sportową.

Dlatego męża, który się lat temu 10 zapisał u nas do klubu sportowego, rodzina wyklinała jako hulakę i utracjusza, a żona i dzieci opłakiwała go, dopóki policja nie odkryła jaskini gry i nie poaresztowała oszustów.

Były i są zresztą—i trzecie rodzaje grup „sportowych": w istocie rzeczy sport był u nich czczym tytułem, chodziło im o zabawy towarzyskie, tańce wieczorki, czarne kawy, majówki, grę w karty i tym podobne zabawy, również niewinne, jak nic ze sportem niemające wspólnego. Ci wszyscy „łyżwiarze", „wioślarze", „pływacy" i t. p. na 10 balów z winem i tańcami urządzali jedne i to nieudane zawody sportowe. Zresztą byli to ludzie starsi, których sport tyle obchodził, co nas cenzura z zaprzeszłego roku.

Tymczasem na zachodzie ludzie starsi lub w średnim wieku potworzyli zrzeszenia sportowe liczące po kilka tysięcy członków chłopców 16—20 letnich i bez wina, tańca i kart ćwiczyli ich czyli trenowali w bieganiu na szybkość i wytrwałość, w rzucaniu dyskiem, kulą lub oszczepem, w skoku na odległość i wysokość, w zawodach piłką nożną i t. p. sportach na otwartym świeżym powietrzu. Klubów takich otwieranych potem przez samą młodzież powstało w ostatnim piętnastoleciu kilkanaście tysięcy z kilkoma miljonami członków.

Przytem przybył jeden niesłychanej wagi bodziec zachęcający młodzież do coraz to lepszych wyników: konkurencja. Gdy w mieście powstały dwa kluby prześcigały się one w staraniach, by zająć pierwsze miejsce czyli reprezentację miasta, wyniki w biegach, rzutach, skokach (czyli t. zw. lekkiej atletyce) rosły jak na drożdżach. Gdy członek klubu A. przebiegł 100 metrów w 12 sekund, klub B „na głowie stanął", by który z jego członków przebieg tę przestrzeń choćby w $11^4/_5$ sek. Przez to powstały tak zwane rekordy czyli najlepsze wyniki klubowe w danej dziedzinie. Konkurowały kluby między sobą, miasta, prowincję, kraje, w końcu państwa i narody. Tu już wchodziły najpiękniejsze i zarazem najsilniejsze ambicje: Francja np. nie mogła dopuścić, by ją w piłce nożnej pobiły Niemcy lub by osiągnęła ona niższe rekordy narodowe od rekordów sąsiadów. W zawodach o mistrzowstwo państw i narodów, gdy z jednej strony stawało najstaranniej z naczelnych klubów wybrana reprezentacja np. Anglji — z drugiej, powiedzmy Szkocji — uczestniczyły setki tysięcy widzów. Gdy dwa najlepsze klubu zwyciężywszy wszystkich rywali, rozstrzygały w ostatnim spotkaniu t. zw. tytuł mistrzostwa państwa, zawody takie były wypadkiem dnia w kraju. Młodzież ożywiona najpiękniejszemi ambicjami: zwyciężania w imię narodu, króry reprezentuje osiągała coraz lepsze, często imponujące wyniki, roznosząc sławę sportową swego narodu na wszystkie strony świata, mężniejąc jednocześnie i rosnąc w siłe. Prasa codzienna pisała o takich zwycięskich zawodach państwa nad państwem sążniste artykuły na pierwszej stronie, a tygodniki i pismo ilustrowane zamieszczały liczne fotografję zwycięzców i scen z zawodów.

W okresie tym powstała doskonała myśl urządzania na wzór grecki co 4 lata t. zw. „olimpjad" międzynarodowych, do programu których zaliczono w pierwszym rzędzie lekką atletykę, a dalej piłkę nożną, pływanie, wioślarstwo i t. p.

W zawodach tych brały udział jedynie oficjalne reprezentacje wszystkich państw i narodów; walczyły one nie na dobro poszczególnych zwycięzców, lecz w imię reprezentowanych krajów. Pod tym hasłem prowadzona walka rodziła między widzami niedający się opisać entuzjazm narodowy. Zależnie od narodowości zwycięzcy na najwyższym manezecie stadjonu (boiska olimpijskiego) wywieszano odpowiednią flagę państwową przyjmowaną z zapałem przez obecnych. Olimpjady takie były już w 1896 roku w Atenach, w 1900 w S. Louis (Ameryka), w 1904 w Paryżu, w 1908 w Londynie, 1912 w Sztokholmie. Podczas zawodów trzepotały się, jako sygnał zwyciężenia wszystkich pozostałych narodów świata, flagi gwiaździste St. Zjednoczonych, flagi Anglji, Niemiec, Szwecji, Francji, Włoch, nawet Węgrów, Finlandczyków i Czechów, nawet Kanadyjczyków, Indjan, Południowych Afrykańczyków, ale brakło tam Orłów Białych chwiejących się dumnie nad stutysięczną rozentuzjazmowaną rzeszą.

A jakże nie miało braknąć, kiedy nie tylko nie zwyciężali polacy, ale nawet przybyć na Olimpjadę nie chcieli. Jakie kluby miały ich przysłać sportowe: tancerzy majówkiewiczów czy karciarzy? Jakim zrzeszeniom w kraju mogłoby zależeć na tem by polska miała swych wysłańców na tym olbrzymim świecie wychowania fizycznego? I cóż by mogli polacy tam pokazać? W wyścigu t. zw. godzinnym nasi reprezentanci byliby wyprzedzeni przez młodzież innych krajów o drobiazg o.... cztery wiorsty.

Nie było więc nas, bo sport polski nie wszedł jeszcze u nas pod sztandary narodowe. Że jest nas 25 miljonów nie pamiętał w stadjonie nikt, bo nawet parokrotnie mniej liczni finlandczycy przybyli tam i zwyciężali. „Naród ten", myślano i mówiono o Polakach, „ginie zapewnie w ciężkich warunkach bytu, młodzieży albo nie posiada, albo posiada ułomną, wycieńczoną chorobami lub hulaszczem życiem, bo w przeciwnym razie, co by jej przeszkodziło przyjechać tu i dać świadectwo, że naród ten żyje i znajduje się w pełni rozwoju swych fizycznych sił?"

Może za rok, dwa odpowie na to harcerz polski—czynem! *K. B.*

WŁASNE BOISKO.

Akademickie Związki sportowe: 1) Uniwersytetu 2) Politechniki 3) Wyższej szkoły rolniczej 4) Wyższej szkoły handlowej i 5) Wyższej szkoły ogrodniczej dotychczas korzystały z boiska Warszawskiego Koła Sportowego w Agrykoli. Boisko to z wielu względów nie odpowiednie dla pełnych inicjatywy Ak Zw. Sp. źle utrzymane nie pozwalało w lekkiej atletyce (biegi, rzuty i skoki) osiągać odpowiednich wyników. Inicjatywa młodzieży nazbyt często krępowana przez zarząd W. Koła Sportowego, rozumiejącego „sport" jak większość klubów „sporto-wo-towarzyskich" w Warszawie. Wiele imprez, jak projektowana na lato pierwsza ogólno akademicka Olimpjada nie mogła z tego powodu dojść do skutku. Klub sportowy młodzieży „Polonia" należący do koła sportowego za chęć uzyskania samodzielności zamknięto. To samo spotkało drugi klub „Koronę".

Zmusiło to grupy sportowe młodzieży zgromadzone w Ak. Zw. Sp. i kluby „Polonii", „Korony" do opuszczenia terenów W. K. Sportowego i pozyskania od miasta własnych terenów. Znalazły się one szybko w parku Skaryszewskim. Obejmują one boisko piłki nożnej, skocznie i—niewykończone jeszcze—bieżnie.

Akademickie Związki Sportowe gotowe są do użyczania tych terenów wszystkim bez wyjątku grupom sportowym w Warszawie, a w pierwszym rzędzie harcerzom polskim z zastrzeżeniem, by służyło one jedynie do piłki nożnej i lekkiej atletyki.

Z KL. SPORT „POLONIA".

Pierwszym warszawskim klubem sportowym młodzieży, rozumiejącym zadania swe po zachodnio-europejsku był Kl. Polonia, który po wystąpieniu z Warsz. Koła Sportowego najpierw uzyskał samodzielność.

Obecnie prowadzi on ożywioną działalność w sekcjach piłki nożnej, która posiada drużyny: „Polonia I", „Polonia II", oraz w fazie organizowania III-ą i IV-ą, sekcji lekkoatletycznej, a ostatnio i pływackiej.

Naczelna drużyna „Polonia I" zajęła już bardzo poważne miejsce między najlepszymi polskiemi drużynami; odniosła zwycięztwa nad Reprezentacyjną drużyną Łodzi (4:2 bramek), Reprezentacją Garnizonu niemieckiego (3:1), zaś ze znaną „Legją" (druż. Legjonów) kończyła grę na remis t, j. nierozegrane (1:1).

W lekkiej atletyce należy do „Polonii" wiele warszawskich rekordów (400 metrów w $55^2/_5$ sek; skok w dal z rozb. 5 met. 74 cm; skok o tyczce 2 m. 77 cm; skoki z miejsca: w dal 2 m. 83 cm;—wwyż 1 m. 28 cm.)

W młodym energicznym klubie prowadzona jest planowa i pożyteczna praca.

„LEGJA".

W pułkach Legjonów, gromadzących w znacznej mierze młodzież galicyjską istniało od dłuższego czasu kilka drużyn pułkowych; po za nimi jednak wytworzył się w komendzie legjonów klub spor. „Legja" gromadzący najlepsze lekkoatletyczne i footballowe siły między oficerami i żołnierzami. Drużyna „Legja" w licznych spotkaniach pobiła wszystkie sześć drużyn pułków piechoty oraz drużyny ułanów (Beliny i 2 p.) Niektóre spotkania wykazywały ogromną przewagę np. z 3 pułkiem 7:0, inne wprawdzie nie były w stanie pobić „Legji", ale stawiały jej skuteczny opór (6-ty pułk 1:1 i 0:0). Nie mniej „Legja" jest dziś naczelną drużyną legjonów i jedną z najsilniejszych na Ziemiach Polskich. Z warszawską „Polonią" „Legja" dwukrotnie kończyła na remis 1:1. Gra

w niej kilku najlepszych footbalistów z galicyjskich klubów „Cracovii", „Pogoni" i „Czarnych".

PIŁKA NOŻNA

lipiec — sierpień — wrzesień.

„Pogoń wojskowa" — „Piłsudczycy" (7:0). Dnia 2 lipca w związku z uroczystościami jubileuszowemi znakomitego kl. sportowego lwowskiego „Pogoni" odbyły się zawody „Pogoni wojskowej" z druż. I pułku („Piłsudczykami") „Pogon wojskowa", w której (w przeciwieńskie do „Pogoni cywilnej") grali licznie wojskowi gracze niemieccy, austryjaccy i węgierscy, częstokroć znakomici, grała bardzo brutalnie, szwankując 2 graczy I-go pułku, który poniósł zupełną porażkę 7:0.

Prasa lwowska wytykała potem zarządowi polskiego klubu Pogoni, że dla chwilowej sławy i zwycięstwa nad sympatycznemi gośćmi dobrała drużynę w $^{9}/_{10}$ nie polską. Sympatje publiczności było po stronie drużyny I-go pułku.

„Unia" Konińska—„Polonia" Golińska (4:0) D. 22 lipca odbyło się w Koninie, a więc na głębokiej prowincji powyższe spotkanie zakończono zwycięstwem koniniaków 4:0. Publiczność b. się interesowała grą.

„III pułk"—„Łódz. kl. sportowy" (6:3). D. 22 lipca odbyły się w Łodzi zawody, w których „trzeci pułk" mający jedną z najsłabszych z drużyn pułkowych niespodziewanie zwyciężył 6:3 bramek drużynę Łódzkiego kl. sportowego.

„Cracovia"—„Zuchowaci" (2:1). Najsłynniejsza polska drużyna piłki nożnej „Cracovia" zmierzyła się d. 22 lipca z drużyną 5 puł. Legjonów (Zuchowatymi) jedną z lepszych w legjonach. Niespodziewanie dobra gra legjonistów pozwoliła „Cracovii" osiągnąć nad 5 pułkiem tylko nieznaczną przewagą 2 bramek do 1-ej strzelonej przez gości. Wynik to dla „Zuchowatych" b. zaszczytny.

„Anin" — „Józefów" (15:0) Dwa letniska pod miejskie gromadzące corocznie licznych sportowców warszawskich rozegrały 22 lipca zawody, w których „Anin" wykazał całkowitą przewagę nad Józefowem, któremu strzelił aż 15 bramek, nie otrzymując wzamian żadnej.

Rewanż: „Anin"—„Józefów (7:3). W następną niedz. 29 lipca odbył się rewanż powyższych drużyn. W spotkaniu tym okazała się znaczna poprawa drużyn „Józefowa"; jej atak potrafił strzelić już trzy bramki, a i obrona przepuściła tylko 7 razy piłkę. Niemniej zwycięstwo „Anina" było bezsporne.

„II p. ułanów—III p. piechoty (5:4). W niedzielę 29-go drugi pułk ułanów odniósł nad III p. piech. nieznaczne zwycięztwo 5:4. Obie drużyny wyróżniły się grą zwartą, jednolitą i inteligientną.

„Cracovia": 3 pułk (7:1). Piątego sierpnia słynna „Cracovia" zwyciężyła z łatwością, bo 7:1 bram. drużyną „III-go pułku". Wynik ten był szeroko komentowany przez prasę warszawską, gdyż pośrednio stwierdzał jednakowo wysoki poziom z „Cracovią" i „Legji" i warszawskiej „Polonii", które swego czasu w podobny zupełnie sposób (7:1 i 7:0) pobiły trzeci pułk.

„Cracovia"—6 pułk (5:0). Jedna z najsilniejszych, drużyn pułkowych (6 pułku), która potrafiła stawić czoło legji 1:1, została 12-go sierpnia z całą łatwością pobita przez znakomitą Cracovię. Wynik ten bardzo smutno przesądzał domniemany rezultat spotkania „Cracovii" z „Legją" zapowiedzianego na następną niedzielę.

„Polonia"—„Anin-Józefów" (4:3). Dn. 19 sierpnia odbyły się w Józefowie doroczne zawody najlepszej warszawskiej drużyny „Polinii" z reprezentacją zjednoczonych tym razem letnisk „Anin-Józefów". Wahające się zwycięztwo wpłynęło na to, że publicznosć gorączkowo śledziła przebieg gry. Były momenty, że wygraną była drużyna letników. W rezultacie jednak wygrała „Polonia" 4:3. Od zapowiedzianego na następną niedzielę rewanżu „Anin-Józefów" się uchylił.

„Legja—„Cracovia" (2:1). Zawody te były punktem kulminacyjnym letniego sezonu. Ze względu na udział 2-ch najprzedniejszych polskich drużyn nosiły onę charakter-spotkania o „Mistrzostwo Polski na r. 1917. Zaciekawienie było wśród widzów olbrzymie. Do przerwy (t.j. pierwsze 45 min.) walczono bez rezultatu: 0:0. Po przerwie bramki strzelili znani gracze ataku „Legji" Mielech i Prochowski. W ostatniej chwili przed końcem gry sędzia zarządził karny rzut na korzyść „Cracovii", która tym sposobem zrobiła jedyną bramkę.

Przez wynik ten „Legja" wysunęła się na naczelne miejsce między polskimi drużynami piłki nożnej.

„Cracovia": „Ceski-Lew" (3:0). Było to jedno z najcharakterystyczniejszych spotkań; zakończyło się ono zwycięstwem nad najlepszą czeską drużyną, zwycięztwem tym niespodziewanym, że poprzedniego dnia Ceski Lew (chluba drużyn czeskich i jedna z lepszych w Europie) pobiła „Cracovię" 2:0.

Zwycięztwo Cracovii 3:0 stawia ją w rzędzie najlepszych dziś drużyn Europejskich.

LEKKA ATLETYKA.

Dział ten najulubieńszych sportów społeczeństw zachodnio-europejskich obejmuje biegi na różne dystanse od 100 metrów do 40 kilometrów, skoki w dal, wwyż (z miejsca i z rozbiegiem i o tyczce oraz rzuty kulą (7¼ kilogr.), dyskiem i oszczepem. Ostatnio dołączono do lekkiej atletyki chody na różne przestrzenie.

Jak dalece wyprzedzono nas w zakresie rekordów lekkoatletycznych dowodzi fakt, że wyniki narodowe polskie są najgorsze ze wszystkich, jakie osiągnęły inne państwo i narody. Młodzież polska powinna polskie rekordy podnieść z kompromitującego ostatniego miejsca, by dowieść, że Polacy nie są najsłabszym narodem świata.

REKORDY WSZECHŚWIATOWE.

Poniżej podaję tabliczkę najlepszych wyników, jakie się udało na świecie osiągnąć w lekkiej atletyce:

Biegi	100 met.	— 10,4 sek.		(Afryka)
,,	200 ,,	— 20,7	,,	(Stany Zjedn.)
,,	400 ,,	— 48,6	,,	,,
,,	800 ,,	— 1 m. 51,9	,,	,,
,,	1.500 ,,	— 3 ,, 56	,,	(Anglja)
,,	5.000 ,,	— 14 ,, 52	,,	(Finlandja)
,,	10.000 ,,	— 30 ,, 18	,,	,,
Bieg godzinny		— 19 kilom. 21 met.		(Francja)
,, maratoński (40 kl. 200 m.)		2 g. 29 m. 30 sek.		(Finlandja)
,,	110 m. z płotami	— 14,9	,,	(Anglja)
Chód	10 kilom.	— 46 m. 14	,,	(Kanada)

¤

Skok w dal	z miejsca	— 3 met. 41 cm.		(Grecja)
,, ,,	z zozbiegem	7 ,, 61	,,	(Irlandja)
,, w wyż.	z miejsca	— 1 ,, 66	,,	(Stany Zjedn.)
,, ,,	z rozbiegiem	2 ,, 03	,,	,,
,, ,,	o tyczce	— 4 ,, 09	,,	,,

¤

Rzut kulą (7 ¼ kg.)	— 15 met. 56 cm.		(St. Zjed.)
,, dyskiem (2 kg.)	— 48 ,, 26	,,	(Finlandja)
,, oszczepem (800 gr.)	61 ,, 12	,,	(Szwecja)

Wyniki te każdy prawdziwy sportowiec umie na pamięć, również jak i własne rekordy narodowe.

NIEKTÓRE POLSKIE REKORDY.

Poniżej przytaczamy następujące rekordy lekkoatletyczne polskie osiągnięte swego czasu przez słynny lwowski klub sportowy ,,Pogoń", gdzie lekka atletyka najwyżej stała z całej Polski.

100 m.	— 11,2''	Garczyński T.	(Pogoń)	1909
200 ,,	— 24,4''	,,	,,	1910
800 ,,	— 2'09''	Grabowski	,,	1910
1,500 ,,	— 4'29,8''	T. Kuchar	,,	1909
3,000 ,,	— 9'42,6''	,,	,,	1909
5,000 ,,	— 18'04,2''	Latowiec	,,	1910
10,000 ,,	— 37'14''	T. Kuchar	,,	1912
Godzina	16 kl. 475 m.	,,	,,	1910
Skok w dal z rozb.	6,36	Garczyński	,,	1910
,, wwyż. z rozb.	1,66½	Tanliczek	,,	1910
,, w dal z miej.	2,80 cm.	K. Cybulski		1910
,, wwyż. z miej.	1,25	,,	,,	1910
,, o tyczce	3,07	,,	,,	1910
Chód 10 kl.	— 53'28''	Wudkowski	(,,Czarni'')	
,, godzinny	— 11 kl. 371 m.	Jajus	(,,Pogoń'')	

Niektóre z rekordów tych zostały ostatnio pobite t.j. podwyższone.

REKORDY AKADEMIKÓW WARSZ.

Akademickie Związki sportowe ogłosiły ostatnio niektóre rekordy ustanowione przez poszczególne. uczelnie.

100 m. — $12^2/_5$ sek. ,,Wyższa Szkoła Rolnicza''
Skok wwyż. z rozbiegiem 1,59 m. ,,Wyż. Sz. Rolnicza''
,, o tyczce — 2,60 m. ,,Politechnika''

Daleko akademikom Warszawskim nawet do rekordów polskich.

K. Biernacki.

¤¤¤¤¤¤¤¤

Gawędy.

Z LATA.

Referent od Redakcji nietylko pisze czyli referuje, i nietylko włada piórem na papierze, ale ma też dobre nogi. To też postanowił w tym roku tak ciężkim, ale, jak śmie twierdzić, dla rozwoju harcerstwa tak pomyślnym, użyć tego drugiego to jest nóg. A jak postanowił, tak uczynił. Wziął kij w rękę, plecak (naturalnie, solidnie naładowany) i ruszył. Ruszył przed siebie, jakby zdając się najpierw zupełnie na los kolei żelaznej, później oddając troskę o kierunek raczej swym nogom, niż głowie. (Co prawda, to nie bardzo po harcersku, ale czasem to i lepiej, zobaczy się nieraz to, czego by się w innym wypadku nie zobaczyło!). A że nasze bractwo tego lata ,,wyewakuowało się gruntownie z Warszawy jak i ze wszystkich naszych poważniejszych grodów'' i rozsiadło się po kraju całym, więc oglądać było co.

Teraz więc Referent wam to opowie.

Najbliżej miałem na kolonję w Urlach, bo tylko coś 3 wiorsty i... oho — jak to się mówi. Korzyść była zaś z tego wielka, bo można było czasem zjeść nawet dwa obiady lub podwieczorki (t. j. na kolonji i w domu!) o ile się miało ochotę przebyć te ,,3 wiorsty i oho'' parę razy dziennie. Jednak nie chciałbym być posądzony o to, że oskarżam kolonję takich porządnych drużyn,—jak VIII Wr. Pułaskiego, III Wr. Poniatowskiego i II Wr. Rejtana—że jeść co nie było! Wcale nie, ale cóż w dzisiejszych czasach i to tuż przed kilkunasto milową wędrówką trzeba przezornie dobre poczynić dla organizmu zapasy. Choć więc czasami (przepraszam coś dwa czy trzy razy tylko) śpiewano: ,,hańba kucharzowi'' itp. kuplety dla naszych wytrawnych kuchmistrzów (jak np. Miłosz Stefek, Tadek i inni) wcale nie przyjemne, były takie wypadki, że w menażkach zostawała zupa itp. przysmaki, co przecież wcale się nie chwali. Prawda, przecież raz nawet jeden harcerz z przejedzenia chciał się rozchorować, a drugi raz sam uczestniczyć musiałem zaproszony przez ,,ober-biszkoptów'' w podwieczorku, kiedy nas czterech zjadło przeszło 5 funtów truskawek i tyleż wiśni i to na jednym posiedzeniu.

To też często śpiewało się wieczorami ową starą, a bardzo piękną pieśń obozową, co to ciągle w niej się przypomina, że w obozie tak ,,prędko płyną chwile, tak prędko płynie czas''. Bo też niestety tak było!

Przeszło tych kilka dni, tych kilka wieczorów przy ognisku! Urozmaicały je produkcje taneczne pewnego znanego ,,wyjadacza'' kolonji i szperacza—wywiadowcy oraz ,,chóry połączone'' drużyn 2-giej i 3-ciej, a czasem też jakaś gawęda, jakto mniejwięcej o tym: ,,Na czym polega braterstwo harcerskie?'' ,,Co to znaczy służyć wiernie Ojczyźnie?'', ,,jakie korzyści i w jaki sposób można odnieść z naszego obo-



Wycieczka 8 Wr. dr. im. K. Pułaskiego, Sztolnia Ponikowska.

zu?" lub wiele innych. W dzień było roboty ,,huk", czasem aż za wiele, ledwo gonił więc jeden punkt programu za drugim. Pionierka; stanął most wzniesiony ,,trudem i mozołem" pionierów (naturalnie posiadających naszyte na rękawie piękne kółeczka pionierskiej sprawności). Dość też czasu i trudu kosztowało ścięcie drzew na ów most. Okopywano się też dla próby, chyba głównie dla obrony przed wielce rzadkiemi letnikami! Naturalnie rozbito wcale szybko i sprawnie obóz z wielkim ,,namiotem Wezyra" (największy namio , zdaje się, nietylko w Warszawie, ale w Związku) i szałasami, z głębokiemi kuchniami no i najprawidłowszą z prawidłowych... latryną. Robiono jeszcze bardzo wiele rzeczy mniej lub więcej przyjemnych; raz nawet warty dały się podejść haniebnie sąsiadom z 8-mej Wr. Druż. czyli Pułasczykom, a w kilka dni później zdecydowano odwet i nawet udany. Wszystkie te ćwiczenia wywołały ze strony Pułasczyków gromkie protesty, podobno nie mogli się wyspać?! No i mieli trochę racji, a może i więcej jak trochę! Ale i oni znaleźli sposób, poprostu sobie zakpili z sąsiadów z 3-ciej i 2-giej Wr. i raz, jak ci ich usiłowali podejść w nocy z całym zapałem, druh oboźny 8-mej Wr., Szmulem powszechnie zwany, a znany ,,Kadehasiarz Warszawski" zamiast zrobić zbiórkę pogotowia, zagrał im na trąbce skocznego mazurka. Naturalnie skutek był wyraźny i zapewne piorunujący i podchodzenie musiało zrobić ,,fiasko". Po takich faktach znany ,,Pułasczak", ,,Jan Kazimierz" konstruował ,,pół-urzędowe komunikaty" ćwiczeń, a podobno niektóre z nich (naturalnie o charakterze ,,zgryźliwym") dostały się w ręce ,,świetnej komendy" kolonji 3-ciej Warsz. Drużyny.—Była tam też w razie deszczu ,,sala bawialna", jadalnia jednocześnie, którą różnie różni nazywali. Miała ona jednak tę dobrą czy złą (jak chcecie) stronę, że zawsze bywało w niej wesoło. Każdy bowiem czuł się w obowiązku, by po spożyciu ,,darów kuchmistrza" wydobyć z pustej już menażki, a pełnego żołądka natchnienie naturalnie przeważnie o charakterze raczej wesołym, niż smutnym. Chociaż czasem, szczególniej wieczorami, kiedy świeczka ze ,,szczytu pieca" oświetlała izbę mdłym niepewnym światłem niejeden wolał porzucić zbyt wesołe myśli i zadał jakieś poważne pytanie, rzucił jakąś myśl czy hasło. A wtedy zwykle poczynano po sobie spoglądać, jakby mówiąc ,,możeby już było dosyć". Zwykle wtedy myśl rzuconą ktoś podejmował, rozwijał i zaczynano gwarzyć. A gdy się oczy poczynały kleić, co zwykle następowało tuż przed oznaczoną na wieczorną zbiórkę chwilą, powoli wszystko ustawało. Zbiórka, rota, modlitwa.

W izbach cisza i ciemność.

Tylko w izbie komendy często długo jeszcze się świeci, a warta czuwa.

,,Czuwała też czujnie" komenda kolonji pod każdym względem. Pamiętała o porządku i ładzie



Warszawiacy na szczycie Giewontu.

wewnętrznym, o zasadzie, by „każdy zawsze był czemś zajęty; bo dla próżniaków niema miejsca w obozie". Pamiętała też, by urozmaicić kolon ę wycieczkami krajoznawczemi w okolicę. Szczególnie te okazały się jaknajdowodniej wielce praktyczne, bo jak Staś, nasz „czarodziej od aprowizacji i floty" stwierdził czarno na białem, zarabiało się przy wysłaniu takiej np. 2-dniowej wycieczki prawie tyle, że można było „siedzieć na kolonji o cały dzień dłużej!" Ale naturalnie takie wycieczki mają i wiele innych, bodaj nawet jeszcze ważniejszych, choć mniej praktycznych, cech dodatnich, o których zapewne wiecie, a jak nie, to sobie o tym przeczytajcie choćby w „Skautach w obozie" tam gdzie mowa o obozach przenośnych albo w „Harcach młodzieży pol."

Chciałbym Wam o tych kolonjach powiedzieć jeszcze niejedno, może wam więc przy sposobności opowiem o owych nocnych ćwiczeniach, które wywołały owe zgryźliwe (zupełnie niesłusznie!) komunikaty „Jana Kazimierza"—od działu biszkoptowego w naszym piśmie—teraz zaś czas kończyć. Życzę więc Wam byście tyle skorzystali z kolonji, co myśmy zyskali na tamtych, by wracając „na nasz powszedni trud"—jak mówi piosenka—przynieść z sobą coś więcej, jak trochę zdrowia i wyćwiczenia—by przynieść rzeźkość, dzielność, pogodę, energję i wesołość. A jak nam tego potrzeba, dziś szczególniej! Przetrwać nam trzeba, ale nietylko przetrwać, ale i budować jednocześnie, co można, co się da! Budujemy i upiększajmy siebie, nasze serca i dusze, nasze siły potęgujmy!

Bo tak trzeba!

Mówię wam to, bo takie myśli przychodziły mi do głowy, gdym się znalazł w pewne piękne popołudnie lipcowe na szczycie Giewontu w gromadce dzielnych moich towarzyszy, którzy pierwsi ze stolicy dotarli tam do naszych „niebotycznych Tater", by spojrzeć daleko, daleko, po przez wzgórza i doliny na kraj nasz cały. Boć wtedy dopiero ogarniesz niejako to wszystko, co ci jest tak drogie, całą Polskę i zrozumiesz niezawodnie czym jest i czego Jej trzeba!

(D. C. N.) *Ster.*

□□□□□□□□

TO i OWO.

Jakto?!

Powstało pismo harcerskie, już czwarty numer wychodzi w świat, a jeszcze nie wszyscy harcerze się nim zainteresowali, jeszcze nie wszyscy czytają je pilnie od A do Z, jeszcze nie wszyscy piszą listy do redakcji i nie nadsyłają swych prac?

Jest nas tylu, a jednak nie wielu pozostaje w łączności z pismem. Co prawda, trudności administracyjne i komunikacyjne, nie pozwoliły jeszcze, aby wszędzie docierał „Harcerz" i to urzędowo. Ale, zdaje się, (niestety, niestety..!) nie to stanowi przyczynę nie takiego zainteresowania się pismem, jakby należało. Redakcja mniema, że wielu harcerzy pogrążyło się w jakąś dziwną śpiączkę,—że nie chce zbudzić się ich myśl i usilniej zainteresować się ich własnym pismem. Przecież pismo nasze jest własnością wszystkich harcerzy! Przecież wszyscy zajmować się nim winni, każdy powinien z nim gadać t. j. korespondować. Zbudźcie się więc!

Bierzcie pismo nasze (a jeśli macie trudności w otrzymywaniu jego meldujcie KO. lub administracji) i czytajcie, czytajcie dokładnie, nie ograniczając się do powierzchownego przejrzenia. Nie chowajcie go gdzieś w głębinach waszych półek i szuflad, lecz dajcie do ręki innym harcerzom, rodzicom waszym, czy też dziewczętom i chłopcom poza harcerstwem stojącym.

Pismo nasze wychodzi dość rzadko, bo miesiąc to ogromny szmat czasu. Jednak przecież nie „połkniecie" chyba odrazu wszystkiego, co zawiera numer „Harcerza"?

Ale nie dość jest przeczytać i... zabawić się lub skorzystać z tego. Trzeba, żebyście jeszcze trochę „poruszali mózgiem". A jest to takie łatwe: zastanowić się nad tym, co „Harcerz" zawiera, pomyśleć, co jabym jeszcze chciał w nim widzieć i napisać o tym redakcji. Pewien mój druh twierdzi, że harcerz to takie stworzenie, które się boi atramentu, a ja naprzekór śmiem twierdzić, że tak nie jest, a przynajmniej być nie powinno! Chyba, dzielni harcerze, nie uczuwacie żadnej bojaźni ani wstrętu względem... przelewania swych myśli na papier? A zresztą może tak jest? To już wasza rzecz! Ja nawet wolę o tym nie myśleć wcale!

Wielu z was posiada lub posiadać będzie życzenia względem naszego pisma, projekty—przecież należy je nadesłać i zużytkować. Każdy może się w łatwy sposób postarać, aby pismo nasze ulepszyć, udoskonalić.

Wielu z was chciałoby mieć odpowiedź na jakieś zadanie, którego nie mogą rozwiązać — niechaj napiszą o tym redakcji. Uczynił tak sekretarz Patronatu w Brzezinach p. Szczutowski—szkoda jednak, że wciągu wakacji cała redakcja wyniosła się na „wywczasy letnie" na kolonje harcerskie, dopiero teraz więc możemy dać spóźnioną odpowiedź. Rzecz obchodzi ogół, więc ją dajemy na tym miejscu. O ile nam wiadomo, istnieje powszechna trudność znalezienia odpowiednich sztuk dla harcerskich teatrów amatorskich. Możemy Szan. Panu wskazać tylko wydawnictwo lwowskie „Bibliotekę teatrów amatorskich", które w licznym zbiorze jednoaktówek zawiera, być może, coś odpowiedniego. Pozatym należałoby wyszukać w katalogach księgarskich. Były już czynione przez samych harcerzy próby napisania „utworów dramatycznych" z życia drużyn, oraz przeróbek z powieści. Możeby nasi „literaci"

harcerscy pomyśleli o tym, że nie mamy co grywać na wieczornicach? Może jaki ukryty talent zabłyśnie i można będzie pracę drukiem ogłosić wszem wobec i każdemu zosobna.

Powinniście nam donieść, co się u was dzieje, jak pracujecie i czas spędzacie, jakim jest życie waszych drużyn, co przeżyliście na kolonjach i wycieczkach. Pomyślcie, że dobrze byłoby, gdyby druh korespondent pisma otrzymywał od korespondentów drużyn co pewien czas obszerne i ciekawe relacje, (niektóre—pocieszcie się—już nadeszły, ale to wszystko mało!) któreby wszyscy potym mogli czytać z przyjemnością.

Ale i tego nie dość! Niejeden z was, czytelnicy, a już pewnie każdy starszy harcerz zdobył wiele w ciągu swej służby i mógłby się podzielić z innymi swoim doświadczeniem i wiedzą.

Nie trzeba być okropnie mądrym, żeby móc napisać coś takiego, co wszystkich zainteresuje i wszystkim korzyść przyniesie! Często jakaś praca posiada usterki, aliści przecież wiadomo, że nie wszystko jest arcydziełem i że redakcja ma zawsze w pogotowiu ołówki i to różnobarwne, innego koloru do uwag redaktora, innego do poprawiania błędów ortograficznych itd. itd.

Tylko, ażeby oszczędzić bliźnim pracy niepotrzebnej i umęczenia, aby nie przysparzać ich (t.j. pracy i zmęczenia) redakcji i zecerowi—piszcie wyraźnie, tylko na jednej stronie papieru i z dużym marginesem. Oczywiście musi być porządny podpis: imię, nazwisko, ew. też pseudonym, drużyna, szarża i stopień. Trudno, dużo wyjdzie wam papieru, ale ten koszt jest w tym wypadku nieodzowny!

Nakoniec słówko do drużyn: w drugim numerze zwróciliśmy się do was, aby wymieniać numery waszych pism na numery ,,Harcerza". Dlaczegóż dotychczas nie wszystk e redakcje nadesłały egzemplarze swych pisemek?! W ten sposób przecież wszyscy ponosimy szkodę, gdyż przez ,,Harcerza" ogół byłby lepiej powiadomiony, co się dzieje w harcerstwie, co piszą, o czym myślą drużyny, gdyż mielibyśmy lepszy łącznik z pracą w poszczególnych ogniskach?

Czuwajcie! Miejcie lepszą pamięć o ,,Harcerzu" i pokażcie, że jesteście ,,piśmienni"—wykrzykuję zakończenie z zapałem i podpisuję się w zastępstwie pierwszego — *,,Drugi Referent od Redakcji"*.

Z życia harcerek.

Nareszcie nasze prośby, molestacje i zaklęcia (Redakcja nie wie już jakich słów użyć) zostały wysłuchane: Redakcja dostała aż dwa listy!!!

Wprawdzie pierwszy z nich przyszedł później, niż drugi, ale nic dziwnego, że ordynans nie mógł odnaleźć Głównej Kwatery Ib. Okręgu (taki był adres), bo jeszcze Z. H. P. nie dorobił się na tyle, żeby każdy Okręg miał swoje G. K., swego szefa, dwa tuziny urzędników i ważne pieczątki.

Ale o dziwo! Znalazł się w Warszawie ordynans, który nietylko odznaczał się charakterem w nogach, ale i zdolnością tropienia. No, i list doszedł do Redakcji.

Treść jego, a mianowicie projekt konkursu na wzorowe prowadzenie zastępu, wywołał niemałe wzburzeuie w naszym redaktorskim gronie. Wreszcie natchnione Duchem Bożym w słowach Redaktora (tego najważniejszego), uchwaliłyśmy następujące rezolucję:

O ile konkursy są wogóle rzeczą dobrą, o tyle jednak konkurs na wzorowe prowadzenie zastępu nie da się uskutecznić. Przedewszystkim trudno zastępowe pobudzać do pracy widokiem nagród, pozatym osądzenie, który z zastępów w Okręgu prowadzony jest najlepiej, można osiągnąć tylko po dłuższym pożyciu z każdym zastępem. To zaś jest rzeczą niewykonalną.

Ponieważ jednak rozumiemy, że chodzi tu o znalezienie wytycznych prowadzenia pracy, proponowałybyśmy rzecz inną. Oto, aby każda z zastępowych, którą choć w części zadowolona jest z wyników własnej pracy, nadsyłała uwagi i myśli które jej nadsunęło własne doświadczenie. Możnaby utworzyć pewien dział w ,,Harcmistrzu", w którym zastępowe dzieliłyby się uwagami, korzystając wzajemnie z rad i wskazówek.

— A teraz, w kwestji formalnej: Redaktor zapowiedział, że następne listy anominowe będą umieszczane w niezwykłej objętości kosza redakcyjnym. Listy należy podpisywać nazwiskiem, lub stałym pseudonimem, nie zapominając o liczbie drużyny i okręgu.

Co zaś do rodzajów prac, prosimy o nadsyłanie wszelkich uwag, myśli nowych, sprawozdań, artykułów nawet poważnych, ciekawych opowiadań i t.d.

Na drugi dzień d. 8. IX 917.

Redakcja przychodzi na zebranie... Wszystkie jeszcze z niecierpliwością oczekują przewodniczącej. Wreszcie dzwonek! Wpada zadyszana i nie mogąc słowa wymówić z oburzenia, rzaca na stół numer Tygodnika Ilustrowanego.

Jedna chwyta Tygodnik:

— Patrzcie, to już zadużo ciągle o Harcerzach! Nie dość, że jak wyjeżdżali na kolonje, napisano w kurjerze: Wyjechał druh Janusz Rudnicki na czele skautów na kolonje do Kluczkowic. Kiedy wracał znów ta sama wzmianka, nieomal na pierwszej stronie. Zupełnie jak jaki prezydent, o którego krokach musi wiedzieć cała Warszawa.

— Tak, o nas nawet nikt nie wspomni, wprawdzie skromność jest naszą zaletą, ale do pewnych granic.

— Taki już los, że musimy się same o wojes

prawa dopominać: Nie chcecie o nas pisać — same napiszemy.

— No powiedźcie, czy nie mamy dosyć materjału? Przecież dziewczęta z rzemieślniczych drużyn były na roboczych kolonjach w Boruchowie na Kujawach. Za robotę w ogrodzie i w polu miały dom i całkowite utrzymanie. Wiem, że im było dobrze, i zdaje się, że z nich były zadowolone.

— Czy w Kowalu na Kujawach, też była rzemieślnicza drużyna?

— Tak. Ale to nie były kolonje robocze. Miały być dwie partje na lipiec i sierpień; tymczasem okazało się, że na sierpień pieniędzy nie starczy. Wówczas pierwsza partja urządziła tam przedstawienie i zebrała pieniądze dla następnych dziewcząt. Same oprócz tego wystarały się o różne zajęcia i posady, żeby móc zostać na następny miesiąc. Jedna nawet na cały rok dostała posadę ochroniarki. Co, czy nie ładnie się spisały?

— A jeszcze gdzie były kolonje?

— W Górze Kalwarji pod Warszawą. Tam była kolonja skautowo-wypoczynkowa. Robiły wycieczki krajoznawcze, ćwiczenia skautowe, zbierały zioła lecznicze, bawiły się, czytały i było im bardzo dobrze.

— A nie przysłały jakich opisów do ,,Harcerza''?

— Jak dotąd nie. Miały wprawdzie kronikę, ale tylko parę stron zapisanych, więc niewiele wymiarkować można.

— No, a co było w Mąchocicach? Mówcież prędzej!

— Czego tam nie było! Przedewszystkiem cudna okolica, w górach Świętokrzyskich. Obok wsie opisywane przez Żeromskiego w Popiołach, w sąsiedniej wsi chata, gdzie się Żeromski urodził. Nie chciało się wierzyć, że widzimy na własne oczy rzeczy tak dalekie, znane tylko z książek.

— No, a coście robiły na kolonjach?

— Trzy dni w tygodniu miałyśmy pracę w ogrodzie, przy siania lub żniwach, a zresztą cały dzień wypełniały gwizdki. Oj te gwiz.ki! Jeżeli nawet nam dały się we znaki, to cóż dopiero musiał mówić nasz sąsiad, który przyjechał do Mąchocic na nerwową kurację. Zato trąbka, sygnał na jedzenie, wywoływała radość powszechną. Wogóle gotowanie, zbieranie chróstu i szorowanie garnków zabierały najwięcej czasu na kolonjach.

— A miałyście wygodne pomieszczenie?

— Cały domek. To też urządziłyśmy sobie śliczne izby, szczególniej świetlicę. W świetlicy była bibljoteka, koło stu książek, które jeśli się nie pokryły kurzem, to tylko dlatego, że je magazynierka codzień inaczej układała. Tam stała apteczka, latarki, aparaty fotograficzne i termometr, bośmy robiły badania meteorologiczne.

— No i nauczyłyście się określać pogodę?

— Ależ i owszem. Przed wycieczką na Ś-ty Krzyż kierowniczka tych badań pół godziny siedziała na najbliższym szczycie i wywnioskowała wreszcie, że będzie pogoda albo deszcz. I ta przepowiednia się sprawdziła.

— To rzeczywiście dziwne! A wycieczek miałyście dużo?

— Jedną do Kielc i Chęcin, drugą nocną na Łysicę, a pozatym część była na Świętym Krzyżu.

— Więc dziewczęta ogólnie zadowolone?

— No naturalnie, wszystkie teraz żałują, że kolonje były tak krótko.

— No więc to wiemy przynajmniej, co warszawskie harcerki w lecie robiły, trzeba teraz czekać na wieści od innych.

,,Redakcja od życia harcerek''.

□□□□□□□□

Z życia naszych drużyn.

ŁĘCZYCA.

W Łęczycy praca harcerska rozpoczęła się jeszcze w roku 1912. Prowadzona ze ścisłą konspiracją, pomimo prześladowań ze strony Moskali szła normalnie. W pierwszym i drugim roku pracy dr-na liczyła około 30 chłopców.

Z rozpoczęciem wojny praca przerwała się. W parę miesięcy jednak znów z młodzieńczą energją wzięto się do dzieła. I pomimo ,,contra'' ze strony władzy szkolnej, a w szczególności naszego ,,Prefcia'', który twierdził, iż nie chce mieć w szkole ,,legjonów'', ideja harcerska coraz szersze zataczała kręgi. W roku 1916 dzięki poparciu inspektora szkoły tutejszej, p. St. K., dr-na poczęła rozwijać się na dobre. Wkrótce też zawiązał się zastęp harcerek, liczący 12 dziewczyn. W początkach miesiąca stycznia r. b. powstała II-ga Łęczycka dr-na męska im. Rejtana.

Obecnie miasto Łęczyca wraz z przyległemi okolicami, Leśmierzem, Ozorkowem, Poddębicami, Parzęczewiem i t. d., stanowi podokręg VI-go Łódzkiego okręgu. Ogółem podokręg łęczycki liczy około 300 harcerzy, z tych samo miasto Łęczyca 180 chłopców oraz 56 dziewcząt. Stwierdzić jednak należy, iż mało da się zauważyć, wśród dr-n szczególnie męskich, wyrobienia technicznego. Wycieczek nie odbywają prawie wcale z wyjątkiem dr-ny w Leśmierzu, która pod każdym względem zasługuje na pochwałę.

S. P.

ŁASK.

W Łasku na jesieni 1916 r. założył Druh Kom. Okręgu jeden zastęp z pośród uczniów miejscowej szkoły. Wkrótce, może za szybko, wyrosła drużyna złożona z sześciu zastępów. Ale chłopcy nie rozumieli dobrze idei harcerstwa, bo zbyt była dla nich nowa. Niedługo też drużyna liczyła tylko 3 zastępy, dwa złożone z uczniów, jeden z młodzieży rze-

m eślniczej. Praca w mniejszem gronie poszła składniej, a chłopcy poczuli, że harcerstwo to szkoła wychowania, która ma z nich utworzyć dzielnych obywateli, a nie chodzi tu tylko o ćwiczenia jako zabicie czasu i rozrywkę. Zrazu nie było stałego komendanta tylko instruktorzy, dlatego też harcerstwo nie mogło się szerzej rozwinąć. Dopiero gdy dostaliśmy komendanta robota poszła lepiej. Usunął jednostki słabe, które tamowały i obniżały pracę dla dobra ogółu prowadzoną. Teraz są 3 zastępy, z których wyjdą pierwsi harcerze · Łasku, gotowi w przyszłości do pracy nad rozszerzeniem idei nietylko w rodzinnem mieście, ale i okolicy. Odbyły się trzy wycieczki, które bardziej jeszcze rozbudziły i ugruntowały zapał i zajęcie się w chłopcach myślą o podniesieniu własnem dla dobra wszystkich.

Zastępowy II plutonu.

□□□□□□□□

Powołani do służby wyższej.



Ś. P. EUSTACHY MILEWSKI
(ur. 1875 r. zm. 2 sierpnia 1917 r.).

Zszedł do grobu w sile wieku, dzielny prawy obywatel polski, energiczny dyrektor, uzdolniony pedagog, oddany całem sercem młodzieży, zostawił po sobie pustkę i żal głęboki.

Rozumiał on doniosłość ruchu harcerskiego wśród młodzieży, brał udział w pracach Naczelnej Komendy skautowej, powołany do niej przez młodzież i przedstawicieli nauczycielstwa.

Z wielką gorliwością starał się o znalezienie funduszów dla ubogich skautów; odziewał ich; żywił w Taniej kuchni przez siebie zorganizowanej; z ks. Lutosławskim urządził pierwsze letnie kolonje skautowe; następnie założył bursę skautową na Kanonii, a po jej zwinięciu, wielu naszych druhów umieścił w innej bursie, którą się sam serdecznie opiekował.

I tego też roku, wielu z nas mogło wyjechać na kolonje letnie dzięki temu, że ś. p. Eustachy Milewski wystarał się o fundusze odpowiednie.

W pracy swej nie zrażał się żadnemi trudnościami ani przykrościami, był gorącym orędownikiem harcerstwa wobec nieprzychylnych ruchowi kolegów. Młodzież harcerska, odczuwając jego oddanie się sprawie i prawdziwie ojcowskie serce, powołała go do Komendy Okr. Warszawskiej.

Zachowajcie wszyscy wdzięczną pamięć o druhu Eustachym i módlcie się o wieczne odpoczywanie zacnej duszy jego.

Ś. P. JAN MYSZKOWSKI.

Byliśmy 4/VIII w Sandomierzu w drodze powrotnej z wielkiej wycieczki po górach polskich, którą przedsięwzięła latem ósma Warsz. drużyna im. Pułaskiego. Wędrując częścią koleją, a przeważnie pieszo zwiedziliśmy Góry Świętokrzyskie, Kielce, Zagłębie, Ojców, Kraków, Tatry z Zakopanego, Pieniny, Stary Sącz, Tarnów. — Wiódł nas drużynowy, który wszystkim był druhem serdecznym i komendantem doświadczonym, energicznym, ostrożnym. Po przebyciu tylu dni drogi, tylu wrażeń, tylu w górach niebezpieczeństw, gdyśmy już byli blizko kresu—w czasie kąpieli w Wiśle—na skutek raptownego kurczu i zupełnej niemożności podania ratunku z naszej strony — zatonął druh drużynowy Janek.

Zginął tragiczną śmiercią jeden z najwybitniejszych harcerzy, zacny druh i kolega, — zginął w naszych oczach przerażonych — jak błysk światła nad topielą. Zabrała go w swoje nurty Wisła szara, a ziemia—matka na Powązkach na wieczny sen utuliła.

Pożegnaliśmy go na wieki naszem mocnem „Czuwaj". — Niechże z tego wysokiego posterunku Duch Jego czuwa nad nami.—Urodzony w Warszawie w (26/V 1899), tu też wychował się i uczęszczał do szkoły Łebkowskiego (kl. I — IV) i im. Re-

ja (IV kl. — VIII), którą też w roku bieżącym ukończył. Był Warszawiakiem rodowitym i trudno byłoby sobie wyobrazić, jakby pracował i żył gdzieindziej, ale nigdy długo przebyć nie mógł w mieście. Jako prawy skaut, tęsknił do przyrody i wśród przyrody jedynie czuł się dobrze. Ruchu i przyjemności wycieczek nieodzownie wymagała jego zdrowa, bujna natura. Pracować umiał. O Skautingu posłyszał po raz pierwszy, będąc na wakacjach roku 1912 (a więc jako trzynastoletni chłopiec) pod Ojcowem, gdzie był łatwy kontakt z Galicją. Zorganizował samorzutnie pluton, t. zw. ,,dziki'' i prowadził go, oczywiście tajnie, w ciągu kilku miesięcy roku szkolnego 1912/13. Dowiedziawszy się o istnieniu ogólnej organizacji, karnie wstępuje do niej w grudniu 1913 i służy jako szeregowiec w drużynie im. Żółkiewskiego (pluton ze szkoły Reja, który potym dał początek drużynie im. Pułaskiego). Za t. zw. pierwszego rozłamu w zimie 1915 roku będąc zastępowym idzie solidarnie ze swym drużynowym Stefanem Ferchem i większością ówczesnych drużyn do ,,rozłamu'', gdyż ,tak mi ideologja i obowiązek nakazywały''. Za t. zw. drugiego rozłamu w r. 1915—16 jako plutonowy stoi twardo przy ówczesnej Naczelnej Komendzie. W Kwietniu tegoż roku zaczyna prowadzić drużynę, jako plutonowy (uczeń 7-ej klasy) i uczestniczy w pracy



przy urządzaniu popisów majowych (obozowanie) i wystawy harcerskiej. Za tę pracę N.-K. (po połączeniu XXI okręgu Warsz. P. O. S. ze Z. H. P.) przyznała mu oznakę ,,za zasługę''. W lecie tegoż roku prowadzi kolonję drużyny (w Dolecku pod Skierniewicami), podczas gdy inna część chłopców powędrowała na wielką wycieczkę na Kujawy. W ciągu zimy wespół ze starszyzną drużyny snuje projekty wielkiej wycieczki w góry i wciela je w czyn, nie przewidując, że jej zakończenie będzie dlań fatalne.

W ciągu całej służby wywierał ogromny wpływ na chłopców mocą swych cnót osobistych. Niezwykły dar zjednywania sobie chłopców i wskazywania im właściwych dróg postępowania powodował, że każdy doń się zwracał po radę, pomoc, otuchę. Nie było nikogo w drużynie, ktoby nie przepadał za druhem Jankiem. Mówili o Nim chłopcy, że jest najlepszym drużynowym, przyznawali to też zwierzchnicy. Boć w ciągu prowadzenia przez siebie drużyny rządził nią rozważnie, porządek i karność zachowywał wzorową i starał się wiele nowego dla niej urządzać i organizować lub też zachęcał ku temu swe szarże. Wiele miał planów na przyszłość, wiele urządzeń i zwyczajów zawdzięcza Mu drużyna, jak np. urządzany na zakończenie roku kilkodniowy obóz drużyny. Własna jego, osobista wartość dawała rękojmię dobroci drużyny.

Silna, zdrowa ambicja — jakiej każdemu daj Boże! — polegała u Niego na uznawaniu własnej wartości i dążeniu ku coraz większemu doskonaleniu samego siebie. Ale doskonalenie to — zdobycz swoją — obracał zawsze na dobro drużyny lub wogóle na społeczną korzyść. Czuł się silnym i był nim rzeczywiście, a całą mnogość swej siły chciał oddać Ojczyźnie.

Nie tylko drużyna korzystała z Jego indywidualności, gdyż uczestniczył w wielu pracach ogólnych dla całego Z. H. P., oraz próbował pisać o harcerstwie. Wkrótce prace te będą zebrane w jedną książkę. Ona nam silniej jeszcze przechowa wspomnienie dzielnego druha. Niech mu ziemia lekką będzie.

O

Dnia 3 maja r. b. zmarł ś. p. Jan Rojewski, zastępowy IX dr. harcerskiej im. Sowińskiego. Jako syn pracownika Dr. Ż. W. W. skończył szkołę tej instytucji. Następnie wstąpił do szkoły Wawelberga i Rotwanda. Od nauki odrywała go praca zarobkowa dla wyżywienia rodziny, powstałej w Warszawie. A jednak znajdował czas na pracę w Harcerstwie. Zrazu przydzielony był do druzyny im. Bema, później zostaje szeregowcem dr. im. Sowińskiego, gdzie jest bibljotekarzem, intendentem, a wreszcie prowadzącym zastęp. Jako przedstawiciel drużyny im. Sowińskiego bierze udział w Komisji Wystawowej i wykazuje niezwykłą energję przy urządzaniu samej wystawy w Dolinie Szwajcarskiej.

Silny duchem, wyczerpany fizycznie nadmierną pracą, opuścił nasze szeregi, powołany wyżej.

O

Bolesna strata spotkała niedawno 24-tą Warszawską Drużynę im. Karola Chodkiewicza.

W lipcu r. b. zmarł w Tymiankach (pow. ostrowski). 14-o letni Tadeusz Zalewski, we wrześniu zaś, 16-o letni Jan Pietraszek.

Obydwaj byli harcerzami III-go stopnia.

□□□□□□□□

KSIĄŻKI DO CZYTANIA.

Harcerze! Trzeba czytać książki koniecznie — książki dobre, najwierniejsze przyjaciółki tego, kto chce ,,dzieckiem w kolebce łeb urwać hydrze'' nieductwa, próżniactwa myślowego i blagi. Musimy

literaturą ojczystą – mądrą i serdeczną — rozwijać mocno w nas poczucie przynależności narodowej, musimy ująć Polskę w sercu i myślach w głęboką naszą własną syntezę. Ażeby Wam w tej pracy samokształcenia narodowego dopomódz, Redakcja „Harcerza” będzie Wam odtąd oceniać i polecać książki do czytania ze wszystkich dziedzin, szczególniej zaś książki traktujące o Polsce żywej, spółczesnej. Czytajcie więc.

1. St. Pawłowskiego „Geografja Polski” (Lwów 1917 — Książnica polska). Idealny podręcznik Geografji Ziem Polskich, barwny i treściwy, zawierający dużo materjałów do nauki o Polsce spółczesnej, może trochę zadużo szczegółów z geologji ziem polskiej. Kto więc geologję zna słabiej, niech równorzędnie z książką Pawłowskiego przewertuje podręcznik szkolny geologji Bzowskiego. Obydwa konieczne przy nauce terenoznawstwa.

2. Prof. Bronisława Chlebowskiego „Rozwój Kultury Polskiej w treściwym zarysie przedstawiony” (Warszawa — Gebethner i Wolff). Nazwisko autora wystarcza. Jestto treściwie przedstawiony i podzielony na okresy rozwój twórczości i życia duchowego naszego narodu, aż do literatury ostatniego dwudziestopięciolecia (1899 — 1915 r.). Daje więc ta książka pojęcie całokształtu rozwoju naszej myśli twórczej.

3. Prof. Aleksandra Brücknera „Walka o język” (Lwów 1917.—Książnica wychowawcza). Nie trzeba się przejmować wyrazem „Walka” i polemicznym tonem pracy znakomitego polskiego uczonego. Walka to łagodna, bez przelewu krwi i żółci. Starzy i zasłużeni uczeni krzyżują ze sobą szpady, nie drągi. Dla tego to właśnie wy harcerze powinniście z takich książek, po za nauką „tonu walki” (i to jest bardzo ważne dla was), brać obfitą treść naukową, jaką przy tej „walce” dla Was pod wpływem bodźca temperamentu obficie naukowcy szafują. Dowiecie się z tej książki mnóstwo ciekawych szczegółów o rozwoju języka żywego i c formach wyrazu myśli polskiej.

4. O książce Chołoniewskiego „Duch dziejów Polski” będziecie mieli specjalne sprawozdanie.

„Opowieści skautowe” Romuald Kawalec, Kraków 1917 r. Nakładem autora.

Są to nowelki o prawie harcerskim, może nie wszystkie zupełnie udatne, zasługują jednak na to, by każdy harcerz je poznał, gdyż przypominają w ciekawej formie—prawo harcerskie i podają wiele szczegółów z życia harcerzy Krakowskich.

PODZIĘKOWANIA.

Komenda IA Okr. stołecznego składa serdeczne harcerskie podziękowanie tym wszystkim, którzy przyczynili się do zorganizowania podwieczorku w dniu harcerskim w Agrykoli w czerwcu r. b. Dzięki temu kilkuset chłopców naszych mogło udać się na kolonje robocze, ćwiczebne lub odpoczynkowe.

Szczególniejsze podziękowanie należy się uproszonemu przez nas organizatorowi p. Henrykowi Pągowskiemu, oraz Druhowi ppor. Janowi Hycowi.

Kolonja harcerska 1B Okręgu Z. H. P. w Máchocicach składa serdeczne podziękowanie druhnie Maryli Zdziarskiej oraz druhom Stanisławowi Rudnickiemu i Zdzisławowi Kuleszy za pomoc w wystaraniu się o przepustki.

Redaktor i wydawca: Konrad Chmielewski. Sekretarz redakcji: Stanisław Rudnicki.

Druk Piotra Laskauera. Warszawa, Marjensztad 8. Za pozwoleniem Cenzury Niemieckiej 13/X 1917 r.